

Daj pokój, Panie!



Adres do korespondencji:
Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca:
Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:
Bartłomiej Wojnarowski – bartlomiej.wojna-
rowski@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:
Piotr Bogdanowicz – piotr.bogdanowicz@
adeste.eu

**Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmono-
gramów i planowania:**
Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:
Krzysztof Działlik – krzysztof.dziallik@adeste.
eu

Redaguje zespół w składzie:
Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięczni-
ka), Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i
społeczeństwo), Konrad Myszkowski (kierow-
nik portalu adeste.eu), Antonio Akmadża, Jan
Borowski, Jan Buczyński, Marcei Hejwowski,
Piotr Ulrich, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Współpracownicy:
Mateusz Bednarek, Natalia Cywińska, Woj-
ciech Gałek, Patryk Kępczyński, ks. Mateusz
Kopa, Piotr Krajski, Krzysztof J. Namysłak,
Dawid Pindel, Tymoteusz Pyda, Joanna Smar-
czyńska, Dorota Ślęczek, ks. Dawid Sebastian
Tyborski, Jakub Urbaniak, Krzysztof Wojtyra,

Kadra techniczna:

**Okładka, grafiki promocyjne i opieka nad
serwerem:**
Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:
Maria Ulman

**Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub
oraz główny webmaster adeste.eu:**
Maciej Łaskowski

Statystyk Adeste:
Mateusz Kosson

Grafik miesięcznika:
Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:
Zofia Bryłka

Dział korekty:
Kinga Grodzka (kierownik działu korekty),
Dorota Białecka (zastępca kierownika działu
korekty), Mateusz Cich (korekta portalu),
Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas,
Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdale-
na Węglarz, Mikołaj Wolanin, Michał Żaczek,
Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i
promocji) – promocja@adeste.eu,
Mateusz Bartkiewicz, Zofia Bryłka, Tomasz
Leszczyński, Tomasz Łukasik.

Konsultacja teologiczna:
Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:
Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wspar-
ciem technicznym, finansowym czy organiza-
cyjnym przyczyni się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON

"Komputer, przeproś Spocka..."

Marceli Hejwowski

WIARA

Świętość, wartość, sens

Jan Borowski

Pax Christiana

Antonio Akmadża

Czy muszę być sprawiedliwy?

Piotr Ulrich

Nie chodzi o to, żeby było miło – czyli o znak pokoju w liturgii mszalnej

Jan Buczyński

Przypowieść o zazdrosnym bracie

Krzysztof Jan Wojtyra

Nie tylko Dekalog

Piotr Bogdanowicz

Polityka historyczna Kościoła?

Szymon Kozieja

Konflikt o Kanał Beagle, czyli jak papież zapobiegł wojnie

Konrad Myszkowski

Po Namyśle: Czy dać sobie święty spokój?

Krzysztof J. Namysłak

Poznajmy prawo kanoniczne – wprowadzenie

Joanna Smarzyńska

SPOŁECZEŃSTWO

Nieplanowane poczęcie

Dorota Ślęczek

Zwiastun przyszłości jedności i pokoju

Dawid Pindel

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój...”

Jakub Urbaniak

Sprzedaż wartości, nowa strategia korporacji?

Piotr Krajski

KULTURA

Proszę o pozwolenie na święty spokój

Nina Kogut

Listy Pielgrzyma – wpis czwarty

Tomasz Leszczyński

Potrzebujemy Bożego pokoju, a nie stabilności

4 To jest temat, który nigdy się nie zdezaktualizuje. Pokój. Człowiek należy do gatunku, który niemal od początku swojego istnienia jest w konflikcie. Z Bogiem, z naturą, z innymi. Opisuje to także Stary Testament, który w pierwszych 9 rozdziałach pokazuje, że wprowadzamy zło do naszego świata przez niepokój, wojnę i nieporządek.

16 Wszyscy, w bardziej bądź mniej okrągłych słowach, mówimy o potrzebie po-
21 koju. Zapewniamy się o niej wzajemnie, o pokoju wspominają politycy i przywódcy religijni. Statystycznie od kilkunastu lat możemy mówić o znacznym spadku
26 liczby konfliktów zbrojnych na świecie. To proces, który wiąże się z globalizacją, ale i nieoptymalnością konfliktów w aspekcie gospodarczym...

31 Nie oznacza to, że rozpoczynając lata dwudzieste XXI wieku, jesteśmy po-
35 kojowi jako cywilizacja. Ciągłe się nienawidzimy, niszczymy i wprowadzamy co-
38 raz nowocześniejsze metody społecznego niewolnictwa, jak handel ludźmi czy
zmuszanie do prostytucji. Nazywam to „dramatem cichej wojny” – czymś, co roz-
grywa się we wnętrzu niepokładanego sumienia, ale także jest niszczące.

43 Jednak głównym powodem, dla którego na ziemi nie zapanował pokój, jest
sprzeniewierzenie się prawom Bożym. Na świecie jest ciągle „nie tak”. Wystar-
czy wyjrzeć na zewnątrz, by to dostrzec. Ciągłe czynimy ten świat gorszym, bo
mijamy się z celem, w jakim został on stworzony. I dlatego wprowadzanie pokoju
51 rozpocznijmy od naprawy sumień. Niepokój na świecie jest sumą niepokoju w
sumieniach i zła, które czynią poszczególni ludzie.

I proszę, nie mylmy pokoju ze stabilnością, z kanapą, z życiowym status quo. Nieraz w imię pokoju należy coś zmienić, zreformować, nawet zdecydowanie. Bo prawdziwy pokój rodzi się ze sprawiedliwości, a nie dogadania się dwóch, nawet najbardziej wpływowych stron.

66 W 2020 roku, wchodząc w tak symboliczne lata dwudzieste naszego stu-
lecia, życzę sobie i Wam, drodzy Czytelnicy, pokoju, który wszystko ustawia na
właściwym miejscu. Dzięki niemu wszystkie nasze sprawy znajdą szczęśliwy fi-
nał. Pomyślmy o tym nie tylko przy okazji dyskusji nad obecnym numerem.

Panie, daj pokój dniom naszym, abyśmy poznali Twoje miłosierdzie!



Z życzeniami dobrej lektury

Bartłomiej Wojnarowski

redaktor naczelny „Adeste”



źródło:yt.com

„Komputer, przeproś Spocka...”



Marceł Hejwowski

„Tacy ludzie jak on/ona nie zasługują na przebaczenie” – głosi vox populi, gdy ktoś obcy zapyta o człowieka takiego jak on/ona (ale ono już nie – dzieci takie niewinne). Przebaczyć, tak po chrześcijańsku? No nie, co to, to nie. Miłosierdzie zostawmy w kościele.

Polski Kościół jest Kościołem wiejskim. Nawet w wielkomiejskiej Warszawie słoma wystaje z butów plebanom i wiernym. Ktoś powie, że obrażam tym sformułowaniem. Może to „burżuazyjny przeżytek” języka polskiego, że słoma znajduje się w butach ludzi ze wsi, a „pana poznaje się po cholewie”.

Ta moja mocna ocena – Kościół wiejski – nie ma na celu nikogo obrazić, ale sprowokować do refleksji. Bowiem prawdą jest, że ta specyfika polskiej *Ecclesii* była w pewnym stopniu umocnieniem w czasach „czerwonej zarazy”. Ale obecnie jest formą totalnie niewystarczającą. I sprzyjającą utwierdzaniu w głowach ludzi Kościoła zabobonnych, niemających nic wspólnego z wiarą frazesów i głupot. Przesady i niemądre myśli (które tak często można zaobserwować w parafialnych wspólnotach), takie jak: „nie moja stodoła, niech się pali”, „byleby ksiądz nie kradł, niech robi, co chce i kazania dobre głosi” i „bo najważniejsze to różaniec i koronka, msza tylko w niedzielę, a spowiedź raz w miesiącu”. Nieroztropne, niereligijne postawy: plotkowanie, obmawianie, dostrzeganie belki w oku bliźniego, a w swoim nawet drzazgi..., nieumiejętność przebaczenia.

Znajomy ojciec szensztacki, głosząc homilię na temat jednej z perykop z księgi Izajasza – mówiącej o rozmaitych przewinieniach – wyszczególnił „odwracanie się od współziomków” (por. Iz 58, 6-7) jako bardzo polskie przewinienie.

Żyjemy w kraju, w którym sens (i to obustronny) ma zawołanie „Kurski, przeproś za brata”. Doskonale widać, że polityka dzieli rodziny. „Katolicy otwarci” uwielbiają mówić o przebaczeniu, ale nie potrafią przebaczyć swoim braciom, siostram – generalnie członkom rodziny dalszej lub bliższej – którzy są katolikami „konserwatywnymi” lub „tradycyjnymi”. Ci drudzy zresztą, chlubiący się ortodoksją, często zarzucający tym pierwszym błędzenie (delikatnie mówiąc), nie są w stanie wykrzesać z siebie krztyny zrozumienia dla ich stanowiska czy po prostu zdobyć się na odrobinę miłosierdzia. Wzbiję się teraz na wyżyny „otwartego katolicyzmu” (będę pisał w cudzysłowach, bo dodawanie jakichkolwiek przymiotników do słowa „katolicyzm” nie ma sensu) i zapytam – po co nam taki katolicyzm? To już nie lepiej być jakimś agnostykiem? Zadaję sobie takie pytania, widząc, że i mnie samemu nie są te przywary obce. Że sam jestem integralną częścią tej polskiej, podzielonej społeczności.

„Ponad podziałem /Przybądź i bądź, /Przybądź i bądź, /Przybądź i bądź, /Bez zarzutu, /Tak dla Tutsi, jak dla Hutu”, śpiewa w *Kapitanie Polska* Lao Che.

Tradsi nazywają mnie oazowiczem, oazowicze – tradsem. Jeżeli to mają być przeciwstawne siły walczące o rząd dusz w Kościele, to ja do żadnej się nie poczuwam.

Wychowany i ukształtowany przez oazę, tradycjonalista z wyboru, po ojcu konserwatysta i antykomunista, po licealnym zakochaniu pałający sympatią do „katolicyzmu otwartego”, a jeśli chodzi o piłkę nożną – choć umiarkowanie ją lubię – legionista, zatwardziały kawiarz, niegardzący również czasem zieloną herbatą... Jestem mozaiką różnych tych cech; podobnie bywa ze społeczeństwem. Różnica jest taka, że jako członki organizmu naszego społeczeństwa mamy częstokroć pokusę kaniibalizmu. A tymczasem, jak to ujął



źródło: unsplash.com

zgrabnie nasz redaktor, Antonio Akmadża: „Jeśli chcemy cywilizacji szlachetnej, hierarchicznej, opartej na wartościach – innymi słowy, cywilizacji kwitnącej – to należy dążyć w stronę społeczeństwa zróżnicowanego, organicznego [...]” (*O powszechnej służbie wojskowej*, „Adeste” nr 17).

Nie chodzi o to, by wszyscy łazili na mszę świętą z mszalkiem księdza Stedmana czy jakąś inną wersją z wydawnictwa Te Deum. Nie chodzi o to, by wszyscy katolicy zaczytywali się

w ks. Tischnerze czy ks. Kaczkowskim. Ani o to, by wszyscy uważali ks. Blachnickiego czy Kiko Argüello za wyrocznie w każdej kwestii, w której się wypowiadali. Dyskutujmy, bowiem kształt Kościoła w XXI wieku to nie jest rzecz błaha. Ale czy musimy się tak wzajemnie nie znosić? Czy musimy *a priori* nazywać te drugie strony heretyckimi/faryzejskimi/schizmatycznymi/modernistycznymi/nawiedzonymi/głupimi? Moja odpowiedź brzmi – nie musimy. Nic nie musimy. My tylko możemy, ewentualnie chcemy.

„Odwracanie się od współziomków” – ileż oblicz ma w naszych realiach ta fraza! Przywoływałem na początku tego tekstu kwestię przebaczenia. Niekiedy wiele lat zajmuje ludziom zauważenie, że z tym człowiekiem, „który nie zasłużył na przebaczenie”, trzeba się pojednać tak jak z każdym innym. Czasem ktoś przekonuje się o tym zbyt późno, na przykład na łożu śmierci albo na pogrzebie tego kogoś. Wieloletnie spory i nienawiść powodują wiele szkód. Znam takie przypadki, w których z powodu jakichś starych zatargów między krewnymi rodzina przez lata była obiektem obmowy ze strony całej parafialnej wspólnoty. Wystarczyło, że ktoś z nich się odwrócił i już wszystkie „pobożne” osoby ich obgadywały. „Jak oni w ogóle śmiał?”. „Na ich miejscu wstydzilibym się...”

Robert Axelrod, zajmujący się teorią gier, w książce *The Evolution of Cooperation* przywołał eksperyment związany z tak zwanym „iterowanym dylematem więźnia”. Chodzi o wiele rozgrywek, w których znaczną rolę odgrywa zdrada i wierność. Gdyby rozgrywka była pojedyncza, prawdopodobnie większość zajmujących się teorią gier oceniłaby, że opłaca się zdradzić. Jednakże Axelrod pokazał, że w mnóstwie takich rozgrywek w rezultacie wygrywali ci gracze, którzy byli wierni i „karali” innych za niewierność. I co ważne, poza karaniem byli też w stanie „odpuścić winę”. Robert Axelrod w swojej książce chciał pokazać, że współpraca jest uzasadnionym efektywnością skutkiem ewolucji rodzaju ludzkiego.

Wspomniany dylemat więźnia w sensie dosłownym dotyczy sytuacji, w której dwóch współników osadzonych w więzieniu zostaje od siebie odizolowanych. Dostają ofertę wyspania tego drugiego. Jeśli któryś z nich zrobi to pierwszy, będzie miał krótki wyrok, a jego kolega długi. Jeżeli obaj zdecydują się milczeć, to dostaną średnio długi wyrok. Jeśli zdradzą siebie nawzajem, obu czeka długa odsiadka. Dy-



lemat więźnia faktycznie istnieje prawnie. Mówi się, że większość przestępców obiera metodę „ufać temu drugiemu”, bo to najbardziej bezpieczne. Silny jest zarazem etos „śmierć konfidentom” (czyli karanie przez „przestępczą brać” tych, którzy wsypują innych).

Te ciekawe fakty z teorii gier pokazują wagę współpracy międzyludzkiej. Mimo że nie można pozostawić winy bez stosownej kary, nie należy również skupiać się na występku. Mówiąc cynicznie, uraza pielęgnowana przez lata jest nieopłacalna. Widzimy to też w przypadku historii geopolityki – spustoszenie kraju, który wystąpił przeciwko naszemu, jest opłacalne. Ale pielęgnowanie tej urazy, traktowanie go jako „podkraju” jest błędem. *Vide* – pogardzanie Niemcami po I wojnie światowej.

Gdybyśmy więc nawet odrzucili moralność katolicką, z samej obserwacji rzeczywistości moglibyśmy wywnioskować, że opłaca się przebaczać. Że opłaca się współpracować z tymi, którzy byli dla nas źli w przeszłości – ale odpokutowali. Naprawienie krzywd, żałowanie za nie i chęć zmiany to nie tylko warunki spowiedzi świętej. Dla nas też powinny być wymagania, od których jest uzależnione nasze przebaczenie wiążące się ze wszystkimi jego objawami – to jest przykładowo ponownym dołączeniem osoby do grona bliższych znajomych.



źródło: flicker.com

W interakcjach społecznych trzeba być wolnym od uraz, od załości, od wszelakich nieracjonalnych odczuć. Tak jak nasza wiara powinna być świadomym, racjonalnym wyborem niezależnym od naszych uczuć i emocji, tak samo należy postępować w relacjach międzyludzkich. Nie możemy ulegać żądzy zemsty. Nie możemy dawać przystępu chęci wykluczania innych ze względu na ich odmienną wrażliwość. Nie jesteśmy od tego, by wzajemnie rzucać na siebie anatemy, ale od tego, by dyskutować. Odkrywać przez dysputę, czy w naszej wierze nie ma jakiś heretyckich wypaczeń, a jeśli takie zauważymy, należy je korygować. Często mamy przygotowane odpowiedzi. To ci źli tradycjonałści dążą do obalenia papieża. To ci modernisci rozmiękczają naukę Kościoła. To wina duchowieństwa. Tego powinno się zakazać, a to promować. „Wszystko wina



to masona, że o Żydzie tutaj już nie wspomnę” (Jacek Kaczmarski, *Źródło wszelkiego zła*). Tymczasem warto raczej stawiać pytania, niż mieć odpowiedzi. Bardziej szukać, niż wołać „znalazłem!” czy „nie znajdziemy!”.

Niektórzy mówią, że polski Kościół mentalnie jest w średniowieczu. Ja na to mówię – niestety nie. Gdybyśmy pozostawali w średniowieczu, mielibyśmy zaufanie do dyskusji. Wierzylibyśmy w możliwość dojścia do prawdy metodą rozważań i rozmowy. Zdrowo podchodzilibyśmy do miłosierdzia i sprawiedliwości.

A zatem, reasumując, wróćmy do normalności. Wierzę w to, że jesteśmy w stanie traktować siebie nawzajem jak ludzi. Że potrafimy sobie nawzajem wybaczać, wynagradzać wyrządzone krzywdy. Że jesteśmy w stanie ze sobą rozmawiać.

Może też zdarzyć się tak, że będzie jak w *Lost For Words* Pink Floyd: „So I open my door to my enemies /And I ask could we wipe the slate clean? /But they tell me to please go fuck myself /You know you just can't win”. Może tak być. Tak bywa w życiu.

Gdy o tym myślę, kołaczę mi się po głowie wymiana zdań, która nastąpiła w stworzonej przez youtubera Dem3000 serii *Star Trek Przerobiony*. Spock mówi w niej: „Kapitanie, poznaj nasz nowy supermądry komputer pokładowy”, na co Kapitan odpowiada: „Ma mnie natychmiast przeprosić!”. Zabawne jest to, że pod pozorem przeprosin obaj bohaterowie zaczynają się wzajemnie obrażać właśnie za pomocą tego komputera. Spock w pewnym momencie pyta maszynę: „Komputerze, mógłbyś przeprosić Kapitana za obracanie jego głupich żartów przeciwko niemu?”, a gdy ta wykonuje polecenie, drugi z bohaterów zwraca się do niej: „Komputer, przeproś Spocka, że nie wie, że śmiech to zdrowie”.

Obyśmy wykorzystywali naszą energię i czas na naprawianie tego padołu łez, czynienie dobra, usprawnianie ziemskiej powłoki naszego Kościoła, a nie na wzajemne obarczanie się winą i licytowanie w zasługach.



źródło: pexels.com

Świętość, wartość, sens



Jan Borowski

Każde ludzkie życie jest święte. Każde ma wartość i sens. Te trzy jego cechy mogą sprawiać wrażenie podobnych, ale w rzeczywistości są skrajnie różne.

Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, a przynajmniej milczą na ten temat karty historii, aby ktoś udało się powstrzymać przed samobójstwem, przekonując, że jego życie jest święte. Prawienie wisielcowi kazań o przyrodzonej godności osoby ludzkiej z dygresjami o stworzeniu na obraz i podobieństwo Boże zakrawałoby o groteskę. Jest tak dlatego, że świętość życia, zwana też godnością, to dla zwykłego śmiertelnika czysta abstrakcja. Nie możemy jej bezpośrednio odczuć ani namacalnie przekonać się o jej istnieniu. Być może właśnie dlatego w dyskusji o aborcji i eutanazji przesuwana się ją na coraz to dalszy plan. Należy jej, centralne miejsce, zaczynają zajmować kategorie wartości i sensu.

Materialistyczne wartościowanie

W teorii jednak nikt otwarcie nie wycenia życia ludzkiego, oficjalnie nie patrzy się przecież na nie przez pryzmat wartości. Jakże to by było materialistyczne! – niemal obrzydliwe. Poza tym również od strony technicznej przy takiej utylitarystycznej licytacji pojawiłyby się pewne kłopoty. Przede wszyst-

kim trudno byłoby wybrać jednoznacznie miarę, określającą, który człowiek faktycznie jest lepszy. Czy wyżej w hierarchii stałby sprawny robotnik fabryki, czy może kochająca matka? Można powiedzieć: to z nich, które jest bardziej „użyteczne społecznie”, dzięki któremu ogół zyskuje więcej. Ale to tylko odsunięcie naszego problemu na dalszy plan. Bo czego bardziej potrzebuje społeczeństwo? Przyrostu naturalnego, rozwoju



cywilizacji czy może wzrostu cnót? Dyskusja ta w filozofii wcale nie jest nowa. Na podobny problem napotykali wszyscy utylitaryści, od J. Bentham'a i J. S. Mill'a począwszy. Odpowiedź jest jednak prosta i raczej zdroworozsądkowa. Patrząc materialistycznie, nie jesteśmy w stanie ustalić jedynego słusznego wzorca człowieka, do którego każdy Kowalski powinien się upodobnić.

Stąd, jeżeli nawet można czasem powiedzieć, że pewien człowiek jest bardziej wartościowy od innych, to mówi się wtedy o jego wartości pod pewnym względem. Nie w żadnym wydumany ogóle. To niby jasne. Jednak pada czasem stwierdzenie, że czyjeś życie może być niewarte przeżycia. Że ktoś ma tak źle, że lepiej dla niego byłoby jak najszybciej zejść z tego świata. Czy aby to zasadne? Pomyślmy – skąd mogą brać się takie opinie? Zdaje się, że opierają się one na przekonaniu, że sens nadają egzystencji czyny. A to dlatego, że w czynie urzeczywistnia się wartości. Jakby nie patrzeć, jedyna sensowna rzecz, jaką możemy robić z dobrem, to właśnie je „czynić”. Nawet w Biblii czytamy przecież, że wiara bez uczynków jest martwa. Wartość całego życia byłaby więc, wedle opinii niektórych, saldą tego, co zdążyliśmy „wypracować”.

Daję bliźniemu coś od siebie i coś od niego otrzymuję. To droga do czynienia dobra. Podkreśla ona społeczny, międzyludzki charakter naszego istnienia i zasadniczo jest zupełnie pozytywna. Żyję – a poczuć to mogę, poświęcając się drugiemu człowiekowi, częstując go sernikiem albo po prostu wykonując moje codzienne obowiązki. Mogę to poczuć również doświadczając – czy to wartości estetycznych, czy duchowych, czy wreszcie zupełnie materialnych (jak sernik). Jeśli zabrakłoby drugiego (jakiegoś „ty”), ta wymiana przestałaby być możliwa. Życie stałoby się dużo uboższe, jeśli nie w ogóle pozbawione sensu. Coś podobnego odczuwał pewnie Robinson na bezludnej wyspie i z tego właśnie powodu pragnął własnej śmierci. Jednak bariera może być zupełnie inna niż przestrzeń oceanu...

Dodatkowa kategoria

Weźmy na przykład życie osoby głuchoniewidomej – przypadek nieco częstszy niż statystyczne szanse na zostanie samotnym rozbitkiem. Osoba ta nie może na pozór niczego doświadczyc ani tym bardziej niczego od siebie dać. Niektórym wydaje się, że to wystarczająca podstawa do dokonania eu-

tanazji. Czy jednak rzeczywiście stan takiego „odcięcia” oznacza zupełne ustanie wymiany wartości? Na poziomie zmysłów pewnie tak (choć istnieją również sposoby komunikacji z osobami głuchoniewidomymi, a część z nich zdobywa nawet wykształcenie). Doświadczenie duchowe może być jednak równie bogate, jeśli nie bogatsze od zmysłowego. Poza tym znane są przecież świadectwa i opowieści, jak opieka nad niepełnosprawnym przemieniła na lepsze życie całej rodziny. Czy więc nie jest to pewnego rodzaju nieświadome dobro czynione przez tego człowieka? Zresztą podział na wartości przez nas dawane i przyjmowane nie jest pełny. Istnieje jeszcze trzecia, często pomijana grupa. Są to wartości postawy.

Życie, czasem zupełnie niespodziewanie, stawia bowiem przed nami różne wyzwania. Rolą naszą jest się z nimi zmierzyć. Zachować się w danej sytuacji jak najwłaściwiej – cokolwiek by to w praktyce miało oznaczać. Właściwie dopóki człowiek pozostaje świadomy, dotąd ma również możliwość urzeczywistniania wartości postawy. Nikt ani nic nie jest mu w stanie odebrać tej możliwości. Także nasz przykładowy głuchoniewidomy ma taką szansę. Przyjmując swoją chorobę, starając się kochać swoje życie i próbując przybrać wobec niego jak najdoskonalszą postawę, czyni przecież jakieś dobro. Możemy powiedzieć nawet więcej – dzięki swojej niesprawności realizuje je w sposób o wiele bardziej heroiczny od przeciętnego człowieka. Uwzględniając tę trzecią kategorię, dochodzimy do zupełnie niespodziewanych wniosków – im życie trudniejsze, tym bardziej wartościowe!

Wartość a sens

Trzeba jednak przyznać, że w toku naszego wywodu doszło do pewnego podstawienia pojęć. Autor z pełną świadomością i perfidią zastąpił niepostrzeżenie pojęcie wartości poczuciem sensu. Z początku mówiliśmy przecież, że wartość życia można próbować mierzyć użytecznością człowieka – na przykład dla społeczeństwa. Tutaj jako wartościowe zaczęliśmy pojmować to, co nadaje życiu sens. Po części słusznie, bo jest on kategorią prywatną, indywidualną. To znaczy, że człowiek nie ma już odwzo-

rowywać jak najdokładniej pewnego ideału. Ma robić po prostu to, co daje mu szczęście, a wówczas jego życie będzie w pełni wartościowe. To z pewnością mniej bulwersujące niż materialistyczne licytacje. Naturalnie jednak nie będzie to już wartość w poprzednim znaczeniu. Nie jesteśmy bowiem w stanie oszacować, jak wiele sensu ma cudze życie.

Nie wydaje się zresztą, by szacunki takie były do czegośkolwiek potrzebne – zwykle skupiamy się wyłącznie na wła-



źródło: unsplash.com

snym poczuciu sensu. Nie ma w tym zresztą nic z naganego egoizmu, gdyż nikt nie może odnaleźć sensu za innego człowieka. Jeżeli natomiast mowa o własnym sensie, istnieje kilka taktyk jego poszukiwania. Dwie skrajne nazwiemy odpowiednio taktyką liniową i centralną. Osoba działająca wedle pierwszej z nich planuje swoje życie w następujący sposób: najpierw musi skończyć dobre studia, potem znaleźć jak najlepiej płatną pracę, następnie wybranka swojego życia, z którym będzie chciała założyć rodzinę. A to i tak nie jest najbardziej skrajny przykład – wielu ludzi stawia sobie za cel ukończenie tej, a nie innej uczelni, a pracować chcą w określonej firmie. Radykalnie zawężają więc sobie pole manewru.



Na co dzień taka strategia może funkcjonować całkiem nieźle. Jednak zdarza się, że jedno z ogniw tego łańcucha pęka – narzeczona na przykład ucieka z innym do Stanów. I bieda. Ludzie patrzący na życie liniowo, jako na ciąg zadań do wykonania, częściej ulegają wtedy trudnym emocjom i stają na progu załamania. Nie mają pomysłu, co robić ze sobą dalej. Dlatego też dojrzałsze wydaje się realizowanie siebie poprzez jakąś ideę. Owszem, znowu możemy sobie wyobrazić jakiś pesymistyczny scenariusz – chociażby, jak zapalony budowniczy socjalizmu na starość zmienia radykalnie swoje poglądy. Dotychczasowe życie łatwo może mu się wydać zmarnowanym. Metodą zapobiegającą takim przykrym rozczarowaniom (choć oczywiście również nie w stu procentach skuteczną) jest koncentracja wokół jednej, możliwie najogólniejszej idei. To właśnie taktyka określona przez nas mianem centralnej. Idealnym celem życia wydają się zatem idee takie jak Bóg, służba ludzkości albo też niesienie pomocy potrzebującym. Badania pokazują, że to właśnie ludzie, którzy swoje życie podporządkowali jednej pozytywnej wartości, najrzadziej doświadczają załamania.

Kto ma kłopoty z sensem?

Dochodzimy zatem do pewnego koła: szukamy celu i sensu życia, aby było ono wartościowe oraz szukamy tego, co prawdziwie wartościowe, aby nasze życie miało sens. Nie jest to jednak koło błędne. Byłoby takie, gdybyśmy za to, co „prawdziwie wartościowe”, uważali sam sens. Niektórzy ludzie fak-

tycznie popełniają ten błąd i dziwią się potem, że nie potrafią osiągnąć szczęścia. Tymczasem w rzeczywistości gonią jedynie w kółko za swoim własnym ogonem. Odnajdywanie sensu zawsze dokonuje się pośrednio, poprzez szukanie celów, w których warto się spełniać. Paradoksalnie najtrudniej jest nam znaleźć go wówczas, gdy gonimy tylko za nim samym. Do szczęścia potrzeba więc nam jakiejś idei, którą będziemy w stanie postawić ponad własny sens i wszystko, całe nasze życie, jej podporządkować.

Innym, równie powszechnym błędem, są próby znalezienia ostatecznego, najogólniejszego sensu poza Bożą perspektywą. Ateista może co najwyżej powiedzieć, że celem jego życia jest, dajmy na to, przysłużenie się ludzkości. Jest to oczywiście cel szczytny, ale jedynie częściowy. Bo jaki w takim razie miałby być cel istnienia ludzkości w ogóle? Czy oznacza to, że jeżeli na Ziemię wpadnie kiedyś rozpędzona asteroida, zniszczy wszystkie wysiłki ludzkości? Czy wiedząc z zupełną pewnością, że wszechświat kiedyś się skończy, mamy popaść w kosmiczne onieśmienie i psychiczną zapaść? Bez odwołania do Boga nie jesteśmy w stanie odkryć sensu istnienia świata, możemy jedynie odpowiadać na pytania o sens w sposób fragmentaryczny. Horyzont ludzki nie sięga aż tak daleko, jakby się tego chciało. Stosuje się tu czasem metaforę wołu ciągnącego pług – nie jest to dla niego praca marzeń, nie rozumie, po co ma dźwigać swój ciężar. Z wyższego wymiaru – wymiaru człowieka – zasadność jego trudu staje się jednak oczywista. Podobnie nasze życie musi wyglądać z perspektywy Nieba. Dlatego właśnie tak wiele ułatwia jej przyjęcie.



źródło: pexels.com

Dwa słowa o godności

Rozważania o Bożej perspektywie to dobry moment, by powrócić jeszcze na chwilę do pojęcia godności (świętości) życia. W teologii i filozofii chrześcijańskiej przypisuje się ją każdemu człowiekowi niejako z założenia. Założenie to można zresztą w prosty sposób uzasadnić przez odwołanie do stworzenia naszych pierwszych rodziców na obraz i podobieństwo Boże. W perspektywie ateistycznej staje się to jednak o wiele trudniejsze. Można co prawda interpretować godność ludzką jako pewną umowę społeczną (analogicznie do idei Rousseau). Miałaby ona zostać „ustalona” na przestrzeni rozwoju cywilizacji, aby (na przykład) zmniejszyć poczucie zagrożenia lub uzasadnić potrzebę respektowania swoich praw we wspólnocie.

Jest to jednak argumentacja o tyle chwiejna, że współcześnie podważa się czasem potrzebę tej ugody. Podobnie zanegować można rozumowanie Immanuela Kanta, że mimo braku religijnej pewności, należy założyć istnienie Boga. Znajdą się tacy, którzy będą dowodzić, że współcześnie taka potrzeba zwyczajnie nie zachodzi. Wiele można by na ten temat powiedzieć, wydaje się jednak, że istnienie godności jest po prostu zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Argumenty jej przeciwników są natomiast mocno przeintelektualizowane. Intuicyjnie kategoria, która pozwala zrównać i zdemokratyzować wszystkich ludzi, wydaje się niezbędna. Na niej opiera się cała zdrowa, chrześcijańska moralność.

Komu przeszkadza bycie osobą?

Podobnie bezzasadne wydają się próby pozbawiania niektórych ludzi miana osoby. Przypomnijmy sobie za św. Tomaszem z Akwinu, co ono właściwie znaczy. Pisał on w *Komentarzu do sentencji Piotra Lombarda*, że „nazwa »osoba« oznacza jednostkową substancję, ze względu na to, że jest podmiotem właściwości, którą zwie się godnością”. Osoba jest zatem posiadaczem godności. Za czasów Akwinaty było jeszcze dość oczywiste, że osobą jest każdy człowiek, niezależnie od jego, w jakim znajduje się stanie, czy jaką ma świadomość. Kwestię zaczęto jednak rozdrabniać, gdy postęp medycyny doprowadził nas do dylematów moralnych. Kiedy człowieka w stanie wegetatywnym można odłączyć od aparatury podtrzymującej życie? Jakie funkcje muszą ustać, aby uznać pacjenta za zmarłego? Kiedy można przystąpić do pobierania narządów na przeszczep?

Niektórzy wpadli na pomysł, aby określić kryteria bycia osobą. Jednym z nich miałyby być samoświadomość, sprawdzana na przykład przez tak zwany test lustra. Człowieka (względnie małpę albo inne stworzenie Boże) sadza się przed lustrem i patrzy, czy zrozumie on, że widzi samego siebie. Na przykład, czy jeżeli zobaczy w lustrze namalowane na własnym czole znamię, będzie sięgał do niego ręką. W efekcie takich eksperymentów miana osoby zostałyby pozbawione między innymi niemowlęta we wczesnej fazie rozwoju. Mówić na ten temat można by wiele, ograniczymy się jednak do dwóch uwag. Po pierwsze, zapomina się tutaj, że to pojęcie osoby jest wtórne wobec świętości życia, nie na odwrót (porównaj: definicja). Osobę rozumie się już nie jako nosiciela godności, lecz godność jako cechę przysługującą istotom, które są osobami. Po drugie, sprowadza się tę fundamentalną kategorię do wartości – tyle że jako kryterium ustala się samoświadomość. Brak świadomości faktycznie odbiera sposobność przeżywania wartości, życie takiego człowieka w pewnym rozumieniu jest więc bezwartościowe.



źródło:unsplash.com

W kwestii godności wszystko pozostaje jednak bez zmian.

Ucieczka przed odpowiedzialnością

Dyskusja nad pojęciem osoby jest więc próbą ucieczki od nienaruszalnej kategorii godności do kategorii bardziej ruchomych, może nawet mglistych. Dzieje się to w perspektywie lęku, że popierając eutanazję, będziemy musieli zabić człowieka posiadającego godność (względnie: pozwolić mu umrzeć). Odpowiedzialność za tę śmierć próbuje się tuszować filozoficznymi rozważaniami. Zasadniczo inna jest tutaj postawa Kościoła, który istotnie pozwala na zaprzestanie usilnego podtrzymywania przy życiu, ale czyni to z pełną świadomością, że człowiek ten do końca pozostaje godny. Pozostaje osobą. Nie odbiera jego życiu świętości, lecz pozwala na godne odejście, jednocześnie przyjmując, że była to konieczność.

Takie pomieszanie i rozmycie pojęć jest niestety częstą cechą sporów wokół kwestii życia i śmierci. Zagadnienia sensu ży-

cia i jego wartości, choć różne, przenikają się w pewnym stopniu, co jest naturalne. Inaczej jest jednak z godnością. To kategoria zupełnie odmienna, przede wszystkim niezależna od prywatnych kryteriów i ocen. Sprowadzanie jej do pojęcia wartości jest drogą donikąd – pozbawia nas podstawowej idei, na której opiera się cała nasza moralność.



Pax Christiana



Antonio Akmadža

Zdecydowanie łatwiej jest pisać o wojnie niż o pokoju. Łatwiej ją zdefiniować, stwierdzić jej obecność i dyskutować o jej poszczególnych aspektach, niezależnie czy rozpatrujemy ją od strony historycznej, politycznej, wojskowej, a nawet filozoficznej lub teologicznej. Tak jest też w praktyce – wydaje się, że o wiele łatwiej rozpętać wojnę, niż wprowadzić pokój.

Pokój, choć prawie każdy przy zdrowych zmysłach go pragnie, zdaje się o wiele bardziej nieuchwytny. Czy istnieje jedna dobra jego definicja? Czy nieobecność wojny jednoznacznie oznacza panowanie pokoju? Czy pokój jest w ogóle rzeczywistością, której doświadczamy, czy raczej pragnieniem, które na tym świecie jesteśmy w stanie urzeczywistnić tylko częściowo, a całkowity pokój pozostaje utopią?

Pokój to jeden z ważnych tematów biblijnych (a szczególnie ewangelicznych), a także temat, któremu Kościół w swojej historii poświęcił wiele uwagi. Przykładami mogą być modlitwa o pokój, nawoływania do pokoju, dokumenty poświęcone temu zagadnieniu, a także konkretne działania na rzecz jego wprowadzenia i zaprzestania wojen.

Nawet jeśli się zatrzymamy na XX wieku, to mamy wiele takich przykładów. Wspomnę tutaj tylko kilka: starania papieży Benedykta XV i Piusa XII o pokój podczas pierwszej i drugiej wojny światowej, encyklika *Pacem in terris* papieża Jana XXIII, ustanowienie Światowego Dnia Pokoju przez papieża

Pawła VI w 1967 r. oraz coroczne orędzia kolejnych papieży z okazji tego święta. Również zaangażowanie Jana Pawła II w krzewienie pokoju i rozwiązywanie konfliktów na całym świecie było szeroko uznawane.

„Pokój mój daję wam...”

Że wprowadzanie pokoju to jedno z ważnych zadań Kościoła i każdego chrześcijanina, to fakt oczywisty, wynikający z ośmiu błogosławieństw: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5, 9). Jakże to wielka obietnica i jak ważne musi być to zadanie!

Jaki jest jednak ten pokój? Jezus w swojej mowie pożegnalnej podczas Ostatniej Wieczerzy powiedział: „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daje świat, Ja wam daję” (J 14, 27). Prawdziwy pokój jest więc darem Boga, tylko Bóg może go ustanowić i zachować. Pokój, jak pojmuje go chrześcijaństwo, to coś o wiele głębszego i pełniejszego, niż pokój w rozumieniu świata. „Pokój ziemski jest obrazem i owocem pokoju Chrystusa” (KKK 2305).

Człowiek nie jest twórcą pokoju, lecz sługą i współpracownikiem Boga w jego wprowadzaniu. Zadaniem chrześcijan nie jest więc tylko doprowadzenie do zakończenia konfliktów zbrojnych, ale także usunięcie przyczyn konfliktów wynikających zawsze z niesprawiedliwości i egoizmu, tj. grzechu. To zadanie polega na usuwaniu zarodków wszelkiego rodzaju niepokoju poprzez eliminację niesprawiedliwych stosunków społecznych oraz demaskowanie fałszywych wartości prowadzących ludzi i społeczeństwa na manowce. Polega również na postępowaniu według kryteriów miłości i sprawiedliwości w życiu rodzinnym oraz osobistym ludzi, a także na nieustannej pokorze, skruse i przebaczeniu.



źródło: unsplash.com

O tak rozumianym pokoju mówił papież Benedykt XVI w swoim orędziu z okazji Światowego Dnia Pokoju w 2012 r.: „Pokój jest owocem sprawiedliwości i skutkiem miłości. Pokój jest przede wszystkim darem Boga. My chrześcijanie wierzymy, że Chrystus jest naszym prawdziwym pokojem: w Nim, przez krzyż, Bóg pojednał ze sobą świat i zburzył bariery, które nas dzieliły (por. Ef 2, 14–18); w Nim istnieje jedna rodzina pojednana w miłości. Pokój jednak nie jest tylko darem, który należy przyjąć, lecz jest także dziełem, które trzeba tworzyć”.

Pokój wprowadzamy przede wszystkim w swoim życiu. Podstawą jest ten pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Jest nim życie w stanie łaski uświęcającej. Ona umożliwia człowiekowi kierowanie się wolą Bożą i przeno-

szenie wewnętrznego pokoju na stosunki z bliźnimi, począwszy od własnej rodziny. Pokój w rodzinach to podstawa pokoju w społeczeństwie. Z rodzin pokój ma się przenosić na wszystkie inne wspólnoty, w jakich żyjemy, jak np. wspólnota parafialna, życie towarzyskie, miejsce pracy... Tyle jest w zasięgu każdego chrześcijanina.



źródło:unsplash.com

Katolicka nauka społeczna

Szczególną odpowiedzialność ponoszą jednak państwa oraz różne instytucje, ze względu na posiadane przez nie narzędzia, dzięki którym mają ogromny i bezpośredni wpływ na wprowadzanie lub zakłócanie pokoju. Z powyższego zarysu chrześcijańskiego rozumienia pokoju możemy łatwo sobie odpowiedzieć, że pokój to nie tylko nieobecność wojny. Potwierdza to *Katechizm Kościoła Katolickiego* w punktach poświęconych pokojowi: „Pokój nie polega jedynie na braku wojny i nie ogranicza się do zapewnienia równowagi sił” (KKK 2304).

Katolicka nauka społeczna zawsze rozpatruje temat pokoju w związku z miłością i sprawiedliwością. „Zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości musi być gruntownie zespolone z zaangażowaniem na rzecz pokoju w świecie współczesnym” – mówił Jan Paweł II 29 września 1979 r. w Dublinie.

Podobne podejście oznacza z jednej strony, że nie wystarczy tylko zapobiec wojnie, zachowując niesprawiedliwe stosunki w społeczeństwie, ale zarazem oznacza, że przemoc i wojna nie mogą być drogą do sprawiedliwości społecznej. O sprawiedliwość należy walczyć pokojowo, a o pokój sprawiedliwie.

Jan Paweł II tak kontynuował: „Ale chrześcijaństwo od nas nie wymaga, żebyśmy zamknęli oczy na trudne ludzkie sprawy. Nie pozwala nam, żebyśmy zaniedbywali i odmawiali zobaczyć niesprawiedliwe społeczne i międzynarodowe sytuacje. Ale chrześcijaństwo zakazuje poszukiwanie rozwiązań tych sytuacji środkami nienawiści, zabijania bezbronnych ludzi, metodami terrorystycznymi. Powiem więcej: chrześcijaństwo rozumie i uznaje szlachetną i sprawiedliwą walkę o sprawiedliwość; ale chrześcijaństwo się zdecydowanie sprzeciwia podżeganiu nienawiści i promowaniu lub prowokowaniu przemocy albo walki w imię »walki« samej. Przykazanie »Nie zabijaj!« musi obowiązywać człowieczeństwo w sumieniu, jeśli nie chcemy, żeby się powtórzyła tragedia i los Kaina”.

Pokój, który jest „dziełem sprawiedliwości i owocem miłości”, wymaga obrony dóbr osoby ludzkiej, swobodnej wymiany myśli między ludźmi; poszanowania godności osób i narodów, wytrwałego dążenia do braterstwa (por. KKK 2304).

Do tego w encyklice *Pacem in terris* papież Jan XXIII wyliczył szereg praw człowieka, których ochrona jest konieczna dla krzewienia pokoju. Do zbioru należą: prawo do życia oraz prawo do godnej człowieka stopy życiowej (jego następcy kładli szczególny akcent na obronę prawa do życia, w tym prawa do życia dzieci nienarodzonych), prawo do korzystania z wartości moralnych i kulturalnych, prawo do oddawania czci Bogu zgodnie z wymaganiami prawego sumienia, prawo do wolnego wyboru stanu i do swobody życia rodzinnego, prawo do zrzeszania się, prawo do emigracji i imigracji, prawo do udziału w życiu publicznym oraz prawo do ochrony swych praw (por. *Pacem in terris*, 11–27).

Jan XXIII wymienił również szereg praw gospodarczych. Potwierdził tutaj w skrócie przesłania encyklik społecznych *Rerum novarum* oraz *Quadragesimo anno*, podkreślając prawo do godnych warunków pracy, sprawiedliwej płacy oraz własności prywatnej, a także wynikające z tych praw obowiązki społeczne.

Pokojowi z kolei zagrażają: niesprawiedliwości, nadmierne nierówności w porządku gospodarczym lub społecznym, zazdrość, podejrzliwość i pycha między ludźmi i narodami (por. KKK 2317).

Warto dodać, że nauka społeczna Kościoła oprócz poszczególnych osób i rodzin, państw i instytucji rozpoznaje również naród jako wspólnotę, która ma duży wpływ na wprowadzanie lub zaburzenie pokoju. To nie przypadek, że katechizm oprócz poszanowania godności osób wymienia także poszanowanie godności narodów jako jeden z warunków pokoju, piętnując zarazem podejrzliwość i pychę nie tylko pomiędzy ludźmi, ale także pomiędzy narodami.

Dlatego w *Pacem in terris* czytamy: „Zdarzyć się może, że między narodami jedne przewodzą innym w dziedzinie osiągnięć naukowych, rozwoju kultury i postępu gospodarczego. W żadnym jednak wypadku nie wolno im z racji ich przewagi panować niestuszenie nad innymi [...]. Narody słusznie odczuwają bardzo głęboko te wszystkie sprawy, które w jakiś sposób łączą się z ich godnością. Prawda nakazuje, aby [...] przestrzegano w pełni wielkich zasad równości. Nie przeszkadza to wcale narodom ukazywać swych zalet w jak najpełniejszym świetle. Należy jednak zupełnie odrzucić te metody szerzenia wiadomości, które – gwałcąc nakazy prawdy i sprawiedliwości – przynoszą szkodę dobrej opinii jakiegoś narodu” (por. *Pacem in terris*, 88–90).

Pokój jest darem, zadaniem i celem

Pokój jest absolutnym przeciwieństwem chaosu. Elementy chaosu są elementami diabelskimi, gdyż Bóg stanowi o harmonii, a więc i pokoju stworzenia. Tam, gdzie obecny jest grzech, obecne są i zarodki niepokoju. Dlatego Kościół zawsze postrzegał pokój przede wszystkim jako rzeczywistość duchową i moralną, a dopiero w następstwie również jako rzeczywistość społeczną i polityczną.

Ponieważ źródłem pokoju jest Bóg, pokój jest, jak mówił Benedykt XVI, „przede wszystkim darem Boga”. Ale ponieważ żyjemy w świecie, w którym obecny jest grzech, pokój nie może w nim nigdy zaistnieć w pełni. Zawsze jest ułomny i częściowy, tak jak ułomny i grzeszny jest człowiek. Dlatego chrześcijanie, głosząc radosną nowinę o Królestwie Bożym, mają obowiązek wprowadzania pokoju.

„Abyśmy byli naprawdę wprowadzającymi pokój, musimy nauczyć się współczucia, solidarności, współpracy, braterstwa, musimy być aktywni we wspólnocie i z czujnością uwrażliwiać sumienia na sprawy narodowe i międzynarodowe oraz na to, jak ważne jest poszukiwanie odpowiednich sposobów rozdziału bogactw, wspierania wzrostu, współpracy w rozwoju i rozwiązywania konfliktów. [...] Pokój dla wszystkich rodzi się ze sprawiedliwości każdego, i nikt nie może uchylać się od tego zasadniczego obowiązku umacniania sprawiedliwości, zgodnie ze swoimi kwalifikacjami i odpowiednio do zakresu odpowiedzialności” – tak uczył nas Benedykt XVI we wspomnianym już orędziu z 2012 r.

Pełny, nienaruszony i prawdziwy pokój panuje jednak tylko w królestwie, które nie jest z tego świata – w Królestwie Bożym. Wprowadzając pokój na ziemi, żyjemy nadzieją na życie w pokoju wiecznym, świętym i doskonałym.

a⁺



źródło: pixabay.com

Czy muszę być sprawiedliwy?



Piotr Ulrich

Co ma katolicyzm do sprawiedliwości? Co da nam bycie sprawiedliwymi? Czy jest to konieczne? W poniższym tekście kilka słów rozważań na temat sprawiedliwości w perspektywie chrześcijańskiej.

Aktualny numer naszego miesięcznika jest ściśle powiązany z papieską intencją na obecny miesiąc – o „umocnienie pokoju i sprawiedliwości na świecie”. Chciałoby się więc zapytać o przyczynę braku pokoju na ziemi. Dlaczego ludzie prowadzą wojny? Dlaczego narody waśnią się między sobą, dlaczego na świecie panuje nienawiść? O ile każdy konflikt, niezależnie od swojego zasięgu, powodowany jest wieloma przyczynami bliższymi, to można pokusić się o wyprowadzenie jednego, zasadniczego powodu takiej rzeczywistości. Każda ze stron jakiegoś konfliktu prowadzi go, ponieważ jest przekonana, że nie doświadcza sprawiedliwości i pragnie doprowadzić do jej wyegzekwowania. Dziecko wchodzi w kłótnię z matką, ponieważ kara, która została na nie nałożona, wydaje mu się niesprawiedliwa. Parlamentarzyści popierający aborcję są ideologicznie skonfliktowani z jej przeciwnikami, ponieważ układ, w którym kobieta nie może podjąć decyzji o przeprowadzeniu zabiegu aborcji, jawi im się jako niesprawiedliwy. Dżihadysty, prowadząc świętą wojnę, pragną zaprowadzić sprawiedliwy porządek religijny i społeczny, który w ich przekonaniu wiązać się będzie z powszechnym wyznawaniem islamu.

Skoro zatem wojna powodowana jest niesprawiedliwością (przynajmniej w subiektywnym odczuciu jakiejś osoby), to stan pokoju wystąpi wtedy, gdy na świecie zapanuje sprawiedliwość. Zawsze, gdy na świecie będą toczyć się wojny, będziemy mówić o obecności poczucia niesprawiedliwości. Jak też wyżej wspomniałem, wciąż mówimy o sprawiedliwości postrzeganej subiektywnie, ponieważ poruszamy się na płaszczyźnie ludzkiego poznania rzeczywistości. Nasuwa się zatem pytanie, czy możemy mówić o sprawiedliwości obiektywnej, pewnej, niepodważalnej?

Czym jest sprawiedliwość?

W celu rozpoczęcia jakichkolwiek rozważań, powinienem rozpocząć od wyłonienia jednorodnej definicji sprawiedliwości. Podstawową cechą tej definicji jest jej ogólność. Trudno podać konkretne wyjaśnienie tego pojęcia, skoro perspektywa spojrzenia na problem sprawiedliwości jest kwestią subiektywną. W rozumieniu ogólnym „sprawiedliwość jest zatem oddaniem każdemu tego, co mu się należy”. Jest to klasyczna, świecka definicja sprawiedliwości, którą za rzymskim jurystą Ulpianem powtarzają pokolenia prawników: Sprawiedliwość jest stałą i nieustanną wolą oddania każdemu jego prawa (*iustitia est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuere*). Tylko taka definicja jawi się jako jednorodna, ponieważ wszelkie bliższe określenia, chcące zdefiniować konkretnie sprawiedliwość społeczną, próbują sprecyzować to, co się należy i jak się należy (np. każdemu według potrzeb, każdemu to samo, każdemu według pozycji) i wszystkie przedstawiają różne punkty widzenia.

Katolickie spojrzenie na sprawę

Mówiąc o sprawiedliwości w ujęciu chrześcijańskim, katolickim, będziemy musieli udzielić odpowiedzi na pytanie, komu i w jaki sposób katolik powinien oddać jego należność? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że chrześcijańskie rozumienie sprawiedliwości będzie wzbogacone i jednocześnie umocowane w perspektywie transcendentnej. W świetle wiary żaden akt ludzki nie powinien być pozbawio-

ny odniesienia do Boga. W takim też kontekście ukazuje sprawiedliwość *Katechizm Kościoła Katolickiego*: „Sprawiedliwość jest cnotą moralną, która polega na stałej i trwałej woli oddawania Bogu i bliźniemu tego, co im się należy” (KKK 1807). Można dostrzec ogromne podobieństwo tej definicji do wytłumaczenia przedstawianego przez Ulpiana. Koncepcję katechizmową warto rozpatrzyć pod dwoma względami:

W pierwszej kolejności cha-



źródło: unsplash.com

rakteryzuje ona pozytywne na-
cechowanie sprawiedliwości,
jednoznaczne nazwanie jej „cno-
tą”. Jest to odpowiedź na pytanie,
czy sprawiedliwość w ogóle jest
nam potrzebna. Z pomocą przy-
chodzi nam Pismo Święte, w wie-
lu miejscach wskazując na to, że
sprawiedliwość jest konieczna
do zbawienia, bo jest przeciwień-
stwem grzechu. Święty Piotr po
otrzymaniu Ducha Świętego mó-
wił do tłumu, że Bogu miły jest
ten, kto postępuje sprawiedliwie
(por. Dz 10, 35).

W drugiej kolejności Kate-
chizm wyszczególnia podmioty,
wobec których człowiek winien
jest oddać należne prawo. De-
finicja wymienia zatem Boga
oraz człowieka. Nie bez przyczy-
ny w takiej kolejności: Bóg jest
pierwszym, któremu człowiek
jest winny sprawiedliwość. Póź-
niej dopiero mamy oddać należ-
ność drugiemu człowiekowi, na-
szemu bliźniemu.



źródło: unsplash.com

Godzien jesteś, Panie i Boże nasz...

Co należy się Bogu? Jednoznacznej odpowiedzi na pytanie udziela nam Pismo Święte: „Godzien jesteś, Panie i Boże nasz, odebrać chwałę i cześć, i moc” (Ap 4, 11). Tylko osoba oddająca cześć Bogu wypełnia wobec Niego akt sprawiedliwości. Nasuwają się w tym momencie słynne już słowa: „Ja wierzę, ale nie praktykuję” (w znaczeniu „wierzę w Boga, ale nie chodzę do kościoła i nie praktykuję uczynków wiary”), które wielu z nas już słyszało z ust wielu osób. Podobna postawa nie jest drogą do zbawienia, ponieważ nie czyni nas ludźmi sprawiedliwymi (w znaczeniu: „nie oddaje Bogu sprawiedliwości”), ponieważ jest to świadome wyrzeczenie uczestnictwa we mszy świętej, liturgii Kościoła i kulcie w ogóle, gdy nie ma żadnych przeszkód, byśmy nie mogli tego uczynić. Nie oddawszy Bogu Jego prawa, co jest powinnością każdego człowieka, stajemy się niesprawiedliwi (w pierwotnym tego słowa znaczeniu: *iniustus* – nieprawy). Kult Boga jest zatem, w rozumieniu chrześcijańskim, aktem sprawiedliwości, który powinien praktykować każdy wierzący. W świetle nauczania Kościoła najwyższą formą kultu,

szczytem modlitwy wierzących jest msza święta. Jest to jedyna doskonała ofiara, którą złożono na tym świecie – ponieważ złożył ją obiektywnie sprawiedliwy Jezus Chrystus. W tym świetle uczestnictwo we mszy świętej jawi się jako moralny obowiązek katolika, który poprzez taką formę modlitwy oddaje Bogu chwałę zgodnie z wolą Kościoła wyrażoną w przepisach liturgicznych. Inne formy kultu będą zawsze niedoskonałym odbiciem i próbą naśladowania tej doskonałej Ofiary, którą sam Chrystus złożył swemu Ojcu. Niemniej jednak nie będą niepotrzebne i nieistotne – ponieważ dokonane z czystej intencji będą wypełniały akt sprawiedliwości człowieka wobec Boga.

W dzisiejszych czasach coraz częściej spotkać się można z praktyką wplatania do kultu Bożego elementów czci wobec ludzi. Coraz więcej w liturgii jest miejsca dla człowieka, w tym sensie, iż coraz bardziej mnogie stają się antropocentryczne w niej akcenty (elementy „konferansjerki”, liczne „zagajenia”, oklaski itp.), podczas gdy w kulcie jedynym nurtem wypływającym od człowieka jest nurt wstępujący – skierowany wyłącznie do Boga. Włączanie do kultu elementów czci wobec człowieka i jego dokonań to bardzo niebezpieczna tendencja, którą bez zastanowienia należy zwalczać. „Kiedy tworzymy dzieła dla Pana, pojawia się zawsze wielka pokusa, by skupić uwagę na samych sobie, jak gdybyśmy byli wierzycielami Boga. Dawid natomiast przypisuje wszystko Panu. To nie człowiek, dzięki swej inteligencji i sile, jest pierwszym twórcą tego, co się dokonało, lecz sam Bóg” – mówił w swojej audycji *Jedynie Bogu cześć i chwała* z 2001 roku Jan Paweł II, komentując kantyk z Pierwszej Księgi Kronik wyśpiewany przez króla Dawida z radości powodowanej rozpoczęciem budowy świątyni przeznaczonej na wyłączny kult Boży (por. 1 Krn 29). Wplatanie do kultu Boga elementów czci ludzkiej stwarza niebezpieczeństwo wypaczenia istoty kultu i wzrastania w człowieku błędnego przekonania, że jemu również należy się cześć i chwała, przy czym zapomni on o wielkości Boga, bez którego jego istnienie byłoby niemożliwe. Kardynał Ratzinger w swym dziele *Duch Liturgii* napisał znamienne słowa: „Jeśli w liturgii oklaskuje się ludzkie dokonania, to jest to zawsze ewidentny znak tego, iż całkowicie zagubiono istotę liturgii”. Praktyki takie nie czynią naszych czynów prawymi, wręcz przeciwnie – tworzą złudną, alternatywną rzeczywistość wiary, która przez swój rosnący antropocentryzm nie pozwala nam na prawe oddanie czci Bogu, czyli wypełnienia względem Niego aktu sprawiedliwości.



„Kto miłuje bliźniego – wypełnił prawo” (Rz 13, 8)

Takie rozumienie aktu sprawiedliwości wobec bliźniego wypływa z przykazania miłości danego wierzącym przez Chrystusa Pana. Dlaczego miłość jako akt sprawiedliwości? W tej cnotcie, największej spośród cnót teologalnych, wyraża się każde prawe postępowanie człowieka. Wydawać by się mogło, że to tak niewiele, że to krótkie zdanie na-

pisane przez Apostoła Narodów jawi się jako niesamowicie proste do wykonania. Po powierzchownej nawet analizie dojść możemy do wniosku, że wcale takie nie jest. Czym dla człowieka jest miłość? Czy niedoskonały człowiek może rzeczywiście doskonale umiłować swojego bliźniego? Po prostu kochać? Każdego? Czy może aż kochać?

Nie bez kozery akty sprawiedliwości względem bliźniego umieszczono dopiero za oddaniem Bogu należnych Mu praw. Najpierw jesteśmy winni sprawiedliwość Bogu, ponieważ to On jedyny jest obiektywnie sprawiedliwy. Jeśli my (jak już wyżej określiliśmy) nie możemy postrzegać sprawiedliwości w sposób obiektywny, powinniśmy spojrzeć na Tego, który jako jedyny jest w stanie doskonale nauczyć nas tej cnoty. W dalszej perspektywie – skoro prawem bliźniego, które mu się należy, jest nasza miłość względem niego, to kult Boży jest dla nas najlepszą szkołą miłości, jaką tylko moglibyśmy sobie wyobrazić. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 13). Czy zatem istnieje większa miłość od tej, którą Chrystus okazał nam na drzewie krzyża? Podczas mszy świętej mamy okazję do tego, aby w sposób rzeczywisty wpatrywać się w największą Miłość tego świata, której sami w sobie nie odnajdziemy, nawet gdybyśmy tego bardzo pragnęli. Cnoty tej możemy doświadczyć w sposób doskonały w sakramencie Komunii Świętej. W ten oto sposób kult Boga, a więc nasz akt sprawiedliwości wobec Niego uzdalnia nas do wzrastania do doskonałości w miłości do bliźnich.

Po powierzchownym opisanu sprawy (ponieważ na ten temat można by pisać dłuższe elaboraty) możemy stwierdzić, że człowiek sprawiedliwy zawsze będzie miał Boga przed oczami. Jego czyny będą odbiciem Boskiej Miłości, którą będzie okazywał najpierw Stwórcy w modlitwie, oddając Mu cześć i chwałę, potem zaś wychodząc do człowieka, wyświadczając mu miłość. Mimo wszelkich niedoskonałości, które zawsze dotyczą czyn ludzki – wypływających z ułomności człowieka i jego skłonności do grzechu – jesteśmy wezwani do doskonalenia się w miłości, bo tylko w niej i dzięki niej możemy stać się sprawiedliwi. Liturgia Kościoła rzeczywiście jest dla nas szkołą sprawiedliwości. Wpatrujemy się w Chrystusa – wzór zarówno doskonałego oddania chwały Bogu, jak i nieskończonej miłości do człowieka. Załączek cnoty sprawiedliwości jest nam wlaný w sakramentach, w których dostępujemy łaski Bożej. Tylko dzięki modlitwie Kościoła, obcowaniu z Bogiem i oddawaniu Mu chwały możemy załączek ten rozwijać i przenosić na naszą codzienność, na międzyludzkie relacje. Wiadomo, że nigdy nie uda nam się uczynić tego w sposób doskonały, ale nie może być to pretekst do tego, aby porzucić dążenie do sprawiedliwości w swoim codziennym postępowaniu. Tylko taka postawa może zapewnić nam wejście do niebieskich przybytków, o czym pisze psalmista: „Pan jest sprawiedliwy, kocha sprawiedliwość; ludzie prawi zobaczą Jego oblicze” (Ps 11, 7).

a⁺

źródło: unsplash.com



źródło:unsplash.com

Nie chodzi o to, żeby było miło – czyli o znak pokoju w liturgii mszalnej



Jan Buczyński

Znak pokoju jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów współczesnej liturgii katolickiej – to bardzo czytelny symbol, przez wielu traktowany jako wyrażenie postawy zgody z drugim człowiekiem, pojednania, pogodzenia się, życzliwego podejścia. Czasami można niestety odnieść wrażenie, że jest traktowany jak konwencjonalne skłonienie głowy na „dzień dobry” wobec sąsiada mijanego na ulicy. Jednak nawet jeżeli traktujemy ten moment liturgiczny świadomie i z głębi serca zwracamy się do osoby obok ze spojrzeniem pełnym braterskiej miłości oraz chęci pojednania, powinniśmy pamiętać, że pokój, o który tu idzie, nie pochodzi od nas i nie oznacza tylko zgody między ludźmi.

Owszem, już starożytne świadectwa mówią o horyzontalnym wymiarze znaku pokoju w liturgii. Justynian pisze tak: „Gdy zaś lektor skończy, przełożony żywym słowem upomina i zachęca do naśladowania tych wzniosłych nauk. Następnie powstajemy z miejsc i modlimy się za nas samych (...) i za innych (...) Po ukończeniu modlitw dajemy sobie nawzajem pocałunek pokoju” (Justyn Męczennik, *Apolo-gia I*, 65; 67). Przede wszystkim zwraca naszą uwagę moment, który jest tu opisany – po liturgii słowa, a przed złożeniem darów na ołtarzu (nie przed obrzędami Komunii, tak jak robimy to dziś), a także spo-

sób przekazywania sobie znaku pokoju przez pocałunek – po wielu wiekach ewoluowały oba te aspekty, czyli czas i miejsce. Jednocześnie od początku istniała świadomość wertykalnego wymiaru tego znaku – nie chodzi o zwykły, ludzki pokój (solidarność, zgodę, przyjaźń), ale o pokój Chrystusa Zmartwychwstałego wypływający z jedności Trójcy Świętej, która przewyższa wszelkie związki ludzkie, kulturowe, społeczne (por. KKK 1097).

Kamerzyści oczekują

12 listopada 1989 roku w Krzyżowej k. Świdnicy odbyła się msza święta pod przewodnictwem abpa Alfonsa Nossola, która była ważną częścią wizyty ówczesnego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla w Polsce. W tych dniach upadał mur berliński, symbolicznie kończył się okres komunizmu, czuć było „ducha przemian”. Po słowach „przekażcie sobie znak pokoju” kanclerz Kohl i polski premier Tadeusz Mazowiecki wyszli ze swoich klęczników, by objąć się w braterskim uścisku i pozostać w nim



źródło: pixabay.com

dłuższą chwilę. Następnego dnia fotografia przedstawiająca tę scenę obieżyła cały świat, by stać się symbolem pojednania polsko-niemieckiego, otwarcia nowego rozdziału w trudnej historii stosunków obu narodów.

Od tamtej pory, przynajmniej w Polsce, przy okazji świąt państwowych, pogrzebów czy innych ważnych wydarzeń, moment znaku pokoju podczas Eucharystii z udziałem różnych polityków – od głów państw po szefów partii politycznych – jest chyba najbardziej medialnie wykorzystywany. Reporterzy uważnie obserwują, kto na kogo spojrzał, kto komu podał rękę, kto uniknął niekomfortowego spotkania. Nawiasem mówiąc, jest to powierzchowne, a dla świadomego katolika stanowi przykład instrumentalnego użycia świętej liturgii w oderwaniu od jej prawdziwego, niewidocznego dla oczu wymiaru.

Wartym zapamiętania „wyjątkowym” znakiem pokoju może być ten uczyniony w 1995 roku przez papieża Jana Pawła II oraz Ekumenicznego Patriarchę Konstantynopola, Bartłomieja I (który podczas Eucharystii w tym właśnie celu podszedł do ołtarza). Tego typu sytuacje zdarzały się nieraz, i o ile można przy ich okazji mówić o pewnej „medialności”, o tyle jednak z pewnością zarówno papież, jak i patriarcha mieli świadomość wertykalnego wymiaru znaku, czyli pokoju płynącego od Chrystusa, który może rzeczywiście prowadzić ku prawdziwemu ekumenicznemu zbliżeniu, które przekracza ludzkie możliwości.



źródło: pixabay.com

Dlaczego w tym miejscu?

Papież Benedykt XVI w posynodalnej adhortacji *Sacramentum caritatis* (2007) zwrócił się do Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, aby rozważyła, czy nie lepiej byłoby przenieść znak pokoju w inne miejsce mszy świętej w celu jego lepszego zrozumienia i wykonywania. Kongregacja wystosowała w 2014 roku (już za pontyfikatu papieża Franciszka) *List Okólny: Znaczenie rytualne daru pokoju podczas Mszy św.*, w którym opowiedziała się za zachowaniem w liturgii rzymskiej znaku pokoju w swoim tradycyjnym miejscu.

Uzasadnienie tej decyzji jest bardzo ważne. Zwraca się w nim uwagę nie tylko zewnętrzną formę znaku pokoju, ale przede wszystkim na jego szczególny wymiar teologiczny, o którym traktuje następujący fragment: „Znajduje ono swój punkt odniesienia w kontemplacji eucharystycznej misterium paschalnego – odmiennie od tego, jak jest w innych rodzinach liturgicznych, które inspirowane są fragmentem Ewangelii wg św. Mateusza (por. Mt 5,23) – przedstawiając się jako »pocałunek paschalny« Chrystusa zmartwychwstałego obecnego na ołtarzu” („Anamnesis” 79, 2014, s. 13). Wspomniany werset Ewangelii to ten, w którym Jezus mówi, że zanim człowiek złoży swój dar na ołtarzu, powinien pojednać się ze swoim bratem. Przytoczone słowa stanowią często przywoływane uzasadnienie horyzontalnego wymiaru znaku pokoju, który nie wyraża jednak w pełni znaczenia gestu.

Chrześcijański pokój ma swoje źródło w Bogu – nie w człowieku. Najgłębszy pokój człowiek znaj-

duje z kolei w Eucharystii, w zjednoczeniu z Chrystusem, Księciem Pokoju. To jest prawdziwa istota Jego misji (a więc i powołania Kościoła) – pojednać ludzi ze sobą w Bogu.

Pokój czy miecz?

Skoro przekazujemy sobie pokój Chrystusa, to powinniśmy to robić w pełni, przyjmując całe Jego przesłanie i nauczanie. (Warto wspomnieć, że wiele osób krytykuje polskie wydanie mszału, w którym łaciński zwrot *offerre vobis pacem* przetłumaczony został jako „przekażcie sobie znak pokoju”, wskazując przy tym na niepotrzebne dopowiedzenie o „znaku”). Otóż nasz Pan nie tylko ukazywał miłość bliźniego jako powinność chrześcijanina, ale mówił również: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową” (Mt 10,34n).

Pokój Chrystusa nie jest utopijną wizją powszechnego braterstwa, idyllicznym obrazem zgody, miłości i tego wszystkiego, co katolicka popkultura nazywa niekiedy „herezją dobrołudzizmu”. Wówczas nie różniłby się on zanadto od rozmaitych, znanych z historii tragicznych w skutkach eksperymentów, które miały zaprowadzić pokój za wszelką cenę, niosąc go na bagnetach wraz z nienawiścią wobec „wrogów ludu”.

Zjednoczenie z Jezusem (a to, jak pokazano wcześniej, jest konieczne dla zrozumienia znaku pokoju w liturgii mszalnej) bywa wymagające, czasami trudne, nie zawsze i dla wszystkich zrozumiałe. To Zmartwychwstały stanowi źródło pokoju i nie chce, byśmy pozorowali jakiejkolwiek gesty przyjaźni i zgody, jeżeli w naszym sercu nie ma prawdziwego pokoju – uświęcającej łaski Bożej oraz prawdziwej miłości bliźniego. Ta zaś nie polega li tylko na życzliwym spojrzeniu i podaniu sobie ręki, ale na miłości, która stawia wymagania, potrafi czasami powiedzieć „nie”, walczy o świętość swoją oraz tę, która może stać się udziałem innego człowieka.

Przekazując znak pokoju, mówimy w istocie: „Chcę cię kochać miłością na wzór miłości Jezusa; życzę ci zjednoczenia z Nim i mam nadzieję, że wspólnie będziemy kroczyć tą drogą”. Warto przypomnieć, że Zbawiciel nie dał nam „przykazania lubienia się”, ale zostawił przykazanie miłości. Znak pokoju przekazany bez uśmiechu na twarzy (na przykład gdy nie czujemy sympatii wobec stojącej obok osoby) wcale nie musi być wyrazem obłudy. Działa on w obie strony, wymaga również ode mnie, abym kochał tego kogoś mimo wszystko, abym pojednał się z nim ze względu na Chrystusa.

Właśnie dlatego Episkopat Polski w 2016 roku wypowiedział się krytycznie o medialnej akcji pt. „Przekażmy sobie znak pokoju”, która według polskich biskupów „rozmywa jednoznaczne wymagania Ewangelii” oraz „wydobywając gest podanej ręki z kontekstu liturgicznego, nadaje mu znaczenie, które jest nie do pogodzenia z nauką Chrystusa i Kościoła” (*Komunikat Prezydium KEP, episkopat.pl*).

Warto nadmienić, że mimo całej swojej głębi znak pokoju może zostać pominięty w liturgii, jeśli celebrans uzna, że tak będzie lepiej ze względów duszpasterskich (przykładowo gdyby istniało ryzyko wprowadzenia zamieszania albo jeżeli uczestnicy liturgii nie byłiby do niego należycie przygotowani, czyli nieświadomi jego symboliki). Jak podaje przywołany wcześniej list Kongregacji: „Znak pokoju, wzajemnie okazany pomiędzy uczestnikami mszy, ubogaca znaczenie i nadaje sens samemu obrzędowi. Dlatego należy słusznie stwierdzić, że nie chodzi tu o »mechaniczne« wezwanie do przekazania sobie znaku pokoju. Jeśli przewiduje się, że w konkretnych okolicznościach nie zostanie on wykonany

należycie albo w określonych sytuacjach pedagogicznie i w sposób racjonalny można uznać, że nie powinien mieć on miejsca, może zostać pominięty, a czasami powinien być on pominięty”.

W jaki sposób?

W pierwszych wiekach naturalnym sposobem przekazania sobie znaku pokoju był pocałunek (żeby nie było wątpliwości – w usta, między wiernymi tej samej płci). W późniejszym czasie nastąpił proces „zstępowania” znaku pokoju. Celebrans całował ołtarz, następnie przekazywał pokój diakonowi, a ten podawał go dalej. Wreszcie pocałunek zastąpił uścisk, a w tym samym czasie zmieniono także „miejsce” pocałunku na policzek.



źródło: pixabay.com

W obowiązujących współcześnie przepisach liturgicznych zlecono poszczególnym konferencjom episkopatu zadanie, aby ustalić „sposób wykonywania gestu znaku pokoju zgodnie z charakterem i zwyczajami narodów” (OWMR, 82). W Polsce kapłan zachęca do przekazania sobie znaku pokoju słowami „Przekażcie sobie znak pokoju”, na które wierni nic nie odpowiadają. Nie wolno używać formuły „Pokój nam wszystkim”. (Wskazania Episkopatu Polski po ogłoszeniu nowego wydania OWMR, 33). Formą znaku pokoju jest ukłon w stronę najbliższych stojących

uczestników Eucharystii lub podanie im ręki. Ten gest wykonuje się w milczeniu lub wypowiada słowa: „Pokój Pański niech zawsze będzie z tobą” albo: „Pokój z tobą”, na co przyjmujący odpowiada: „Amen” (częstym błędem jest odpowiedź „I z duchem twoim”, która jest niepoprawna, ma zupełnie inne znaczenie i występuje w innym momencie liturgii).

Benedykt XVI przypomniał, że „dla zachowania klimatu właściwego dla celebracji konieczna jest powściągliwość w stosowaniu tego gestu, co nie odbiera mu nic z jego wysokiej wartości, ograniczając się na przykład do przekazania tego znaku jedynie tym, którzy stoją obok” (*Sacramentum caritatis*, 49). Radość podczas przekazywania znaku pokoju, która często uzewnętrznia się na naszych twarzach, powinna płynąć ze świadomości, że oto za chwilę razem z tymi, którym podaliśmy rękę, zbliżymy się do Stołu Pańskiego, by zjednoczyć się z Chrystusem, Księciem Pokoju.



źródło: unsplash.com

Przypowieść o zazdrosnym bracie



Krzysztof Jan Wojtyra

My, Europejczycy wychowani w kulturze chrześcijańskiej, mamy pewien problem z tekstami biblijnymi, zwłaszcza z najbardziej znanymi fragmentami Ewangelii. Historie te są dla nas bardzo oczywiste i słysząc początek jednej z nich, wiemy, o czym będzie i jak się opowieść zakończy. Konsekwencją takiego słuchania lub, rzadziej, czytania tych tekstów jest zatracenie możliwości uchwycenia wielości znaczeń, gdyż zatrzymujemy się na tej interpretacji, którą znamy, bo przecież to wszystko jest tak bardzo oczywiste i jasne. Chciałbym Cię zaprosić do innej, niestandardowej lektury przypowieści o miłosiernym ojcu, która jest oczywiście jedną z wielu możliwych interpretacji i na pewno nie wyczerpuje w pełni głębi tekstu. Dla mnie ten sposób odczytania tej przypowieści był odkryciem; mam nadzieję, że dla Ciebie też będzie, chociaż zapewne taka analiza już powstała i nie jestem pierwszym, który ją proponuje.

Przypowieść, czyli co?

Przypowieść to gatunek literacki, który wykorzystuje rzeczywistość codzienną odbiorców do mówienia o czymś większym, ważniejszym. Dlatego można mówić, że tekst ten odczytuje się na dwóch

Wezwanie do Apostołów, aut. James Tissot



pląszczyznach: dosłownej i przenośnej. Pierwsze znaczenie odnosi się do opisu pewnej historii, która jako taka mogłaby funkcjonować samodzielnie, jednak możemy z niej wynieść coś wznioślejszego, czyli znaczenie przenośne.

Powód, dla którego Jezus sięga po przypowieści, jest z jednej strony prozaiczny – „człowiek Wschodu lubi mówić i nauczać za pomocą porównań” (Léon-Dufour X., *Słownik teologii biblijnej*, 1990, s. 833), a z drugiej „tajemnica Królestwa i osoby Jezusa jest czymś do tego stopnia

nowym, że może być objawiona tylko stopniowo, zgodnie z różnymi możliwościami percepcyjnymi słuchaczy. Dlatego Jezus w pierwszej części swego publicznego życia nakazuje zachowanie »sekrety mesjańskiego« [...] . Dlatego też tak chętnie naucza w przypowieściach” (tamże, s. 835). Warto przy tym pamiętać, że przypowieść jest obrazem do treści i zbyt skupianie się na drugoplanowych symbolach może spowodować utratę z pola widzenia najważniejszego wątku (por. Keener C. S., *Historyczno-kulturowy komentarz do Nowego Testamentu*, 2000, s. 643).

Lektura

Na początku opowiadania znajdującego się w Ewangelii wg św. Łukasza spotykamy syna, który żąda od ojca majątku na niego przypadającego, czyli zgodnie z prawem zapisanym w Pwt 21,17 – jednej trzeciej dóbr. Takie żądanie zdaje się być jasnym komunikatem – dla mnie nie żyjesz, ja lepiej wiem, jak urządzić sobie życie. Po otrzymaniu przydziału syn udał się więc w drogę, roztrwonił majątek i zatrudnił się przy opiece nad świniami. Praca ta była uwłaczająca z dwóch powodów: po pierwsze, będąc u swojego ojca, nie musiał wykonywać prac przy zwierzętach, po drugie świnie były dla Izraelitów zwierzętami nieczystymi (por. Kpł 11,7). Ks. F. Mickiewicz SAC w *Komentarzu do Ewangelii wg świętego Łukasza* (2019, s. 164) zauważa, że „przystawie zapisane później w Misznie głosiło: »Przeklęty człowiek, który hoduje świnie, i taki, który uczy swego syna greckiej mądrości«. W swoim sercu syn postanawia się ukorzyć i wrócić do ojca nie jako syn, a jako sługa. Ojciec zdaje się go oczekiwać, już z daleka go zauważa, ściska i wyprawia dla niego ucztę.

W tym momencie pojawia się drugi, wierny syn, który robi wyrzuty ojcu. Ten fragment jest często przez nas pomijany, traktowany jako mniej istotne dopełnienie opowieści, ponieważ skupiamy się przede wszystkim na pięknej postawie miłosiernego ojca, który jest obrazem Boga przyjmującego grzesznego człowieka, jeżeli ze skruszonym sercem przyjdzie do Niego.

W skórze wiernego syna

Spójrzmy na całą sytuację z perspektywy wiernego syna. Nasz brat lub siostra zabiera część majątku rodziców, co może skutkować potrzebą spieniężenia pewnych dóbr, a w konsekwencji zubożeniem tych, których kochamy. To jest decyzja, którą musimy zaakceptować i następnie przejść do życia codziennego, do swoich obowiązków, aby (od)budować utracony dobrostan. Pewnego dnia wraca nasz brat, nasza siostra z niczym, licząc na powtórne przyjęcie. Ojciec cały szczęśliwy wyprawia imprezę, a my wiemy, że od dawna ciągle tylko harujemy czy to w szkole, czy w pracy i nie mieliśmy możliwości wyjścia na miasto ze znajomymi, pewnie obwiniając za tę sytuację wyrodne rodzeństwo, za które ponosimy konsekwencje. Po ludzku każdy wściekłby się, widząc tak jawną niesprawiedliwość.

Przypowieść w kontekście

Omawiana parabola w czytaniach mszalnych jest bardzo precyzyjnie wycięta, przez co gubimy kontekst, w jakim występuje. Pragnę przyjrzeć się z Tobą fragmentowi, który wprowadza w trzy przypowieści: o zagubionej owcy, drachmie i synu marnotrawnym w piętnastym rozdziale Ewangelii wg św. Łukasza: „Zbliżyli się do Niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Na to szemrali faryzeusze



Powrót syna marnotrawnego, aut.
Guercino

źródło: [wikimedia.org](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Guercino_-_The_Prodigal_Son_-_WGA01699.jpg)

i uczeni w Piśmie: »Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi« (Łk 15,1-2). Jak widać, analizowany tekst jest odpowiedzią na zarzut faryzeuszy i uczonych w Piśmie, że Jezus przebywa z tymi, którzy są nieczyści czy współpracują z okupantem, jakim było Imperium Rzymskie.

Czytając przypowieść włącznie ze wstępem, rozjaśnia się, kto jest kim. Oczywiście ojciec to Bóg bogaty w miłosierdzie (por. Ef 2,4n), marnotrawny syn – grzesznicy, a wierny syn to właśnie faryzeusze i uczeni w Piśmie, a bywa, że również i my.

MY? Jak to?!

Widząc tę niesprawiedliwość, starszy syn „na to rozgniewał się i nie chciał wejść” (Łk 15,28a). Ojciec wychodzi do niego, jak wyszedł do drugiego syna, aby z nim porozmawiać, bo ten idealny syn właśnie duchowo odchodzi od ojca i trzeba wyjść mu na spotkanie, niczym kochający Bóg wychodzi na spotkanie grzesznika.

Co Bóg chce powiedzieć faryzeuszom? Ja pragnę zbawienia każdego grzesznika, także tego, którego wy się brzydzicie. Nie ograniczajcie mnie w dysponowaniu moją miłością, bo „nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce” (1 Sm 16,7).



Czy i my czasem nie lubimy być jak ten wierny syn, który mówi dla kogo jest, a dla kogo nie ma miejsca w Kościele? Czy nie szokują nas wielkie nawrócenia grzeszników i nie szukamy w nich podstępów czy promocji medialnej? Jak patrzymy na naszych bliskich, którzy, będąc daleko od Kościoła, chcą do niego wrócić?

Bóg chce nam zadać jedno fundamentalne pytanie: czy chcesz wejść ze Mną na ucztę i się weselić, czy pozostać za drzwiami i trwać w swoim gniewie i nienawiści do Mnie, że jestem miłosierny?

a⁺



źródło: pixabay.com

Nie tylko Dekalog



Piotr Bogdanowicz

Przywykliśmy do tradycyjnego rachunku sumienia na podstawie Dekalogu. Uczono nas, że jest on jedynym albo najważniejszym wyznacznikiem moralności chrześcijańskiej. Czy aby na pewno tak jest?

Nie. Dekalog, choć bardzo ważny, nie stanowi jedyne punktu odniesienia dla chrześcijanina. Może być co najwyżej punktem wyjścia, podstawą, na której buduje się życie moralne wierzących, pewnym minimum – jakże trudnym szczególnie dziś. Należy jednak od Dekalogu przejść do Kazania na Górze, które ukazuje pełnię chrześcijańskiej postawy. Święty Augustyn, za którego myślą będziemy podążać, zaznacza, że „w nim zawarte są wszelkie przykazania odnoszące się do ukształtowania życia” (*O kazaniu Pana na Górze, [w:] O kazaniu Pana na Górze. Do Symplicjana o różnych problemach. Problemy ewangeliczne, Warszawa, 1991 s. 21*).

Skrzywiona moralność?

Pokrótkę. Przywykliśmy do myślenia o moralności jako zbiorze nakazów i zakazów. Powinność – oto słowo klucz, które wpajano nam i nadal się wpaja jako wyznacznik życia moralnego. Mamy powin-

ności, winniśmy coś robić, a czegoś nam nie wolno czynić. W historii myśli teologicznej doszło nawet do tego, że moralności naucza się w oderwaniu od duchowości. Tym sposobem całe pokolenia żyły pod prężeniem zakazów i nakazów; całe pokolenia nigdy nie usłyszały – i wciąż nie słyszą – że ich życie moralne mają kształtować błogosławieństwa, a nie groźby. Dlaczego tak się stało?

Odkąd doktrynę moralną Kościoła zaczęto budować na Dekalogu, Kazanie na Górze niejako zepchnięto w kąt, a nawet więcej – wyrzucono je poza nawias moralności chrześcijańskiej. Tym sposobem pojawiła się realna groźba (nie chcę tu oceniać, czy i na ile spełniona) popadnięcia w mentalność i kategorie starotestamentalne dawnej sprawiedliwości opartej na ścisłym trzymaniu się litery prawa, mnożeniu nakazów i zakazów, a według której karą za grzech była śmierć. Niestety ten efekt dawnej sprawiedliwości, życia pod prężeniem prawa ma się w Kościele wciąż bardzo dobrze. Bardzo powoli zaczyna się to odbijać ogromną czkawką, bowiem opieranie się na samym Dekalogu oderwanym od reszty nauczania moralnego zawartego w Piśmie Świętym może z czasem przybrać formę pewnej subiektywnej lub nawet obiektywnie istniejącej opresji, którą odczuwają słuchacze Słowa. Jak temu zaradzić?

Co jest na początku moralności?

Dominikanin, o. Servais T. Pinckaers w swoich *Źródłach moralności chrześcijańskiej*, omawiając spojrzenie św. Augustyna, stwierdza, że zacząłby on od ustalenia, co tak naprawdę jest początkiem moralności – pytanie o powinność czy raczej o szczęście. Jeżeli źródło stanowi pytanie o powinność, to dochodzimy do momentu, w którym moralność odrywa się od duchowości, stając się suchym, zewnętrznym (a więc takim, przed którym człowiek intuicyjnie zaczyna się bronić) zbiorem nakazów i zakazów. Kazanie na Górze nie będzie mogło zostać w taką moralność włączone, ponieważ nauczanie Jezusa w nim zawarte zbyt głęboko przenika człowieka, wykraczając daleko poza powinnościową mentalność.

Jak bardzo głęboko przenika człowieka? Ci, którzy słuchali tego kazania, zdumiewali się, „uczył ich bowiem jak ten, który ma władzę, a nie jak uczeni w Piśmie” (Mt 7,29). Jezus daje obietnicę szczęścia tam, gdzie my po ludzku najmniej się tego spodziewamy – w sytuacjach, z których najchętniej byśmy uciekli i nie wracali do nich nawet wspomnieniami. A On właśnie wtedy mówi: „błogosławie- ni”!



Jeśli przyjmiemy, że źródłem moralności jest pytanie o szczęście, o błogosławieństwo, to pojawia się przestrzeń do zbudowania zupełnie „nowej” moralności, która będzie pociągać człowieka. Wszak kto nie chce być w życiu szczęśliwy? „Pytanie o szczęście rodzi mentalność opartą na pociągu, na dążeniu do prawdy i dobra, która świetnie współbrzmi z obietnicami błogosławieństw i drogami ukazanyymi przez zalecenia Ewangelii. Doktryna Kazania połączona z pragnieniem szczęścia wchodzi głęboko w wewnętrzne życie człowieka i odpowiada na jego głębokie dążenia, oczyszczając je i zakorzeniając w Bogu” (*Źródła moralności chrześcijańskiej*, Poznań 1994, s. 161).

Pełnia życia chrześcijańskiego

Augustyn z niewzruszoną pewnością dostrzega w Kazaniu na Górze doskonały przepis, pełnię moralności, jaką winni kierować się chrześcijanie. Co więcej, czytając je w kontekście całego Pisma, widzi się w nim szczyt, ku któremu podąża cała nauka moralna zawarta w Biblii. Aby to dostrzec, kazanie wygłoszone przez Jezusa trzeba czytać i wyjaśniać jako jedną całość, a termin „przykazanie” rozumieć

szeroko, czyli dostrzegając, że mieszczą się w nim nie tylko polecenia, ale także błogosławieństwa oraz wiele innych kwestii, takich jak problematyka postu, modlitwy czy przebaczenia.

Dlaczego biskup z Hippony przykładał tak wielką wagę do Kazania? Wszak dziś wciąż należy ono do prawdopodobnie najmniej chętnie omawianych fragmentów Pisma, rzadko wyjaśnianych na kościelnych ambonach. Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Kazanie na Górze, podobnie jak Modlitwa Pańska, to Słowo Pańskie. Jak stwierdził Augustyn w *Liście do Proby* – tak jak konieczne jest, by każda modlitwa chrześcijańska pozostawała w zgodzie z modlitwą *Ojcze nasz*, tak każde nauczanie moralne powinno sprowadzać się do Kazania na Górze.





Polityka historyczna Kościoła?



Szymon Kozieja

Dzieciaci papieżu, wojny religijne, stosy – te i wiele innych obrazów może wprowadzać w zakłopotanie wielu niezaznajomionych z tematem katolików. Wiara, która powinna być powodem do dumy, staje się nagle powodem do wstydu, a być może bywa nawet podkopana.

Na ile te narracje są prawdziwe, wypowiedziało się już wielu apologetów. Podejmują oni – zwykle na własną rękę – wysiłki, aby odkryć prawdę o tamtych wydarzeniach. Oprócz dobrych chęci potrzebują jednak dwóch niezwykle istotnych rzeczy: **warsztatu badawczego i środków popularyzacji wiedzy.**

Bez pierwszego elementu są skazani na utknięcie w pułapce ideologizacji nauki oraz ukrywania niewygodnych faktów, a bez drugiego pozostanie im wzajemne poklepywanie się po plecach.

Nie uciekniesz!

Od historii ciężko uciec jakiejkolwiek instytucji religijnej, obrządkowi czy wyznaniu. Każda taka grupa kształtuje się w procesie dziejowym i jej rozmieszczenie na mapie kulturowej nigdy nie jest los-

we. Decyduje o tym wiele czynników – od warunków naturalnych aż po kształtowanie rzeczywistości przez człowieka. **Jako katolicy wierzymy także w dynamiczne działanie Opatrzności – samo wciele nie się Syna jest szczególną i zmienną interwencją w historię ludzkości.**

On sam oraz Jego uczniowie nie głoszą Dobrej Nowiny społeczeństwu bez tożsamości, bez historii. Odnoszą się przecież do dawnych wydarzeń i proroków Starego Przymierza. Także same sytuacje opisane w Biblii są umieszczone zwykle w mniej więcej konkretnym miejscu i czasie. **Chrystus nie został skazany przez bezosobową siłę**, a konkretnych ludzi powiązanych z różnymi systemami światopoglądowymi, jak również ówczesnymi instytucjami życia społecznego i grupami interesu.

Kościół już więc u swych korzeni budował pewien obraz przeszłości. Wraz z rozwojem różnych opowieści o świętych i historiografii zwiększał się „ciężar” dziejowy. Dochodziły do tej układanki nowe elementy związane z udziałem duchownych w dziejach politycznych i społecznych świata. Władza świecka podlegała legitymizacji religijnej, a akty prawne były pełne odniesień do religii. Po czasie w wyniku różnych układów sił geopolitycznych, filozoficznych i ideologicznych **kreowano ogrom półprawd i mitów o przeszłości Kościoła**. Także w drugą stronę pojawiły się błędne apologie pisane pod tezę bądź wynikające z błędnych danych, lecz stworzone z dobrymi intencjami.

Historia to nauka o przeszłości od czasu pojawienia się słowa pisanego. Jest ona więc nierozłączna z człowiekiem i jego działaniem. Człowiekiem, którego natura – jak wierzymy – skażona została przez grzech pierworodny. Skutkiem tego jest obecność dobra i zła w dziejach ludzkości, a w tym także i Kościoła.

Możemy próbować uciec – ale historia i tak nas dopadnie! Pytanie, czy jako wspólnota w odpowiedni sposób będziemy do niej podchodzić. Czy z muzy historii – Klio – zrobimy naszą niewolnicę lub też przeciwnie – pozwolimy jej zaśpiewać prawdę o nas i o innych? A może po prostu oddamy naszym nieprzyjaciołom na pożarcie?

Narracja ma wynikać z prawdy – nigdy na odwrót

Bardzo dobrym punktem wyjścia dla refleksji historycznej jest realizm poznawczy św. Tomasza z Akwinu. Zakłada on to, że **świat istnieje niezależnie od ludzkiego poznania**. Podobnie można przenieść to twierdzenie na przeszłość – zdarzenia zaistniały bez względu na to, jak zostały ujęte w źródłach historycznych i opisane przez historyków.



źródło: pixabay.com

Arystoteles, ojciec filozoficzny św. Tomasza, pisał w swojej *Metafizyce*: „Nie dlatego bowiem, iż uważamy, że jesteś biały, jesteś taki faktycznie, lecz odwrotnie, ponieważ jesteś biały, my stwierdzając to mówimy prawdę” (1996, 1051 b 7-9). Sam Doktor Anielski ujął to w traktacie *De veritate* w taki sposób: „bytowość rzeczy wyprzedza pojęcie prawdy, poznanie zaś jest jakimś prawdy skutkiem” (za: I. Solecka-Karczewska, *Ujęcie prawdy w pismach Tomasza z Akwinu w kontekście zgodności rozumu i wiary*, <http://katedra.uksw.edu.pl/posiedzenia/19pos.htm> [dostęp: 19.12.2019]).

Brzmi to banalnie? Niestety, zdarza się czasem współcześnie kreować przeszłość na nowo fałszywymi narracjami. Nie ma większego zagrożenia dla nauk humanistycznych niż zrelatywizowanie faktów i ugrzęźnięcie

w próbie pogodzenia różnych niespójnych wizji – do tego niezbyt odnoszących się do rzeczywistości. Celem każdego badacza powinno być **doprowadzenie swojej narracji do stania się jak najbardziej zgodną z prawdą**. Oczywiście historyk dokonuje selekcji materiału – często pisze o tematach, jakie są bliskie jego spojrzeniu na świat. Nie może jednak stać się wybiórczym.

Osoba czytająca tekst odnoszący się do przeszłości zawsze powinna mieć z tyłu głowy **pytanie o intencję twórcy**. Czy przyświecała mu chęć poznania i zrozumienia prawdy? Czy coś nam nie pasuje?

Nie powinien jednak tylko przesłuchiwać autora. Dobrze byłoby, gdyby zapytał uczciwie także siebie: co mną kieruje? Czego szukam? Gdzie mam braki w wiedzy?

Jak zbadać przeszłość?

Na sam początek każdy przyszły historyk Kościoła powinien oprócz przygotowania duchowego uzbroić się w podstawowy aparat historyczny, aby nie pisać bzdur. Musi mieć świadomość, że teksty historyków są konstrukcją zbudowaną ze źródeł i innych prac ich kolegów po fachu. Nie muszą mieć zawsze racji.



źródło: unsplash.com

Większości publikacji współczesnych historyków można jednak w dużej mierze zaufać, ponieważ tworzą je specjaliści w danych dziedzinach. Często zachodzi potrzeba zejścia na głębszy poziom – do **publikacji naukowych**, które dzięki internetowi są nam bliższe niż kiedykolwiek.

Oprócz małych bibliografii w książkach i wielkich w bibliotekach, bardzo przydatnymi narzędziami do wyszukiwania opracowań naukowych są te, które możemy stosować nawet z własnego domu. Są to wyszukiwarki naukowe takie jak *academia.edu*, *katalog.nukat.edu.pl* czy *scholar.google.com*, a także przypisane do konkretnych bibliotek, na przykład *katalogi.bj.uj.edu.pl*. Ciekawe są także strony udostępniające za darmo zeskanowane źródła na przykład *polona.pl* czy *pl.wikisource.org*. Dostępne są też różne katolickie encyklopedie, takie jak *www.newadvent.org* i wiele, wiele innych ciekawych miejsc w sieci.



źródło: unsplash.com

Bądźmy sceptyczni, ale nie unośmy się pychą

W spotkaniu ze źródłem historyk nie może być porywczy w wyciąganiu wniosków. Zanim cokolwiek napisze, musi przeprowadzić dwojaką krytykę:

Krytyka zewnętrzna polega na określeniu czasu oraz miejsca powstania źródła.

Krytyka wewnętrzna polega na analizie treści źródła oraz zbadaniu wiarygodności autora.

Nie tylko źródła, ale także prace historyków wymagają krytycznego podejścia. Tym bardziej – o czym się zapomina – literatura piękna oraz filmy czy gry budują obraz przeszłości. Do nich warto być jeszcze bardziej zdystansowanym – nie ma co się

bać krytyki, gdy zajdzie taka potrzeba. Ważne (jeśli nie ważniejsze) są jednak także działania pozytywne – trzeba tworzyć sztukę oraz popkulturę opartą na prawdziwej historii naszego Kościoła.

Łatwo jednakże wpaść w **pułapkę skrajnego sceptycyzmu**, który jest równie niebezpieczny jak przyjmowanie wszystkiego bezwiednie. Krytyka wszystkich i wszystkiego połączona z pychą może doprowadzić do zamknięcia się na prawdziwe informacje.

Dobrym tekstem wprowadzającym za pomocą łatwego języka w te zagadnienia jest *Jak porównawczo czytać źródła historyczne: materiały metodyczne dla nauczycieli* dostępny pod adresem: <http://www.scholaris.pl/frontend,4,108566.html>.



Polityka historyczna Kościoła

Aktualnie istnieje już sporo dobrych opracowań związanych z historią Kościoła, które poruszają także tematykę bardziej skomplikowaną i kontrowersyjną. Jako wspólnota jesteśmy w posiadaniu ogromnej skarbnicy wiedzy. Można jednak wskazać dwa problemy, które wymagają rozwiązania.

Pierwszym z nich jest potrzeba stworzenia szerszych **możliwości systematycznej nauki**. Co prawda istnieją uniwersytety i szkoły katolickie. Są to jednak konkretne fizyczne placówki, których funkcjonowanie jest niezbędne, ale też niewystarczające. Istnieje potrzeba stworzenia systematycznych kursów on-line związanych z historią Kościoła i jego dorobkiem filozoficznym, dostępnych za darmo w sieci.

Kolejnym są **niskie zasięgi i brak profesjonalności** w przekazie treści. Nie jest to oczywiście żaden zarzut dla samych już działających apologetów, którzy tworzą przeróżne dzieła własnymi rękami – często nawet mają zadatki na rozwinięcie się, ale w pewnym momencie zderzają się z brutalną rzeczywistością. To bardziej wyrzut dla nas, jako wspólnoty, że często pozostawiamy ich samotnie na froncie walki o prawdę.

Aby poprawić tę sytuację, trzeba działać w dwojaki sposób. Oddolnie – poprzez tworzenie i wspieranie dobrych inicjatyw historycznych, a także osobiste (i kulturalne) zwracanie uwagi na kłamstwa i półprawdy w sieci, oraz instytucjonalne – przez uświadomienie hierarchii i duchowieństwu znaczenia tego typu działalności.

Nie ustawajmy w walce o prawdę – zawsze jednak pamiętajmy, że to o nią chodzi, a nie o naszą jej wizję.



źródło: unsplash.com

Konflikt o Kanał Beagle, czyli jak papież zapobiegł wojnie



Konrad Myszkowski

Św. Jan Ewangelista przekazuje nam, że w mowie pożegnalnej Jezusa podczas Ostatniej Wieczery padły słowa: „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daje świat, Ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze ani się lęka!” (J 14,27). Podczas Kazania na Górze Jezus powiedział z kolei: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5,9). Jezus obdarza nas pokojem i wymaga od nas, abyśmy my również nieśli światu pokój. To wezwanie kieruje do nas wszystkich, ale szczególną odpowiedzialnością obarcza najwyższych dostojników Kościoła, którzy bywają graczami w polityce międzynarodowej.

W doniesieniach medialnych stosunkowo często słyszymy, że papież potępił jakiś konflikt, wezwał do pokoju czy w inny sposób opowiedział się przeciwko wojnie. Jest to – jak wskazałem wyżej – całkowicie naturalne. Rzadko jednak zastanawiamy się nad tym, co się dzieje w tej materii poza słowami i jakie konkretnie działania prowadzi Stolica Apostolska w celu zaprowadzenia pokoju. Tymczasem papież nie ograniczają się wyłącznie do potępienia walczących stron – historia zna wiele przypadków, w których Stolica Apostolska podejmowała się prowadzeniem mediacji pokojowej. Dyplomacja



watykańska znana jest z licznych sukcesów w tej dziedzinie, a sztandarowym przykładem jest rozwiązanie – trwającego ponad sto lat i zakończonego w latach osiemdziesiątych XX wieku – sporu o Kanał Beagle.

Lennox, Nueva, Picton

Szukając źródeł konfliktu o Kanał Beagle, musimy cofnąć się w czasie do początków XIX wieku. To właśnie wtedy w południowej części Ameryki Południowej powstały dwa państwa – Argentyna i Chile. Długa grani-

ca pomiędzy nimi początkowo naznaczona była wieloma niejasnymi punktami. W latach trzydziestych dołączyła do nich cieśnina odkryta przez ekspedycję Karola Darwina na statku HMS Beagle. To właśnie wtedy okazało się, że nazwany na cześć brytyjskiego statku kanał jest trzecią (obok Przesmyku Drake'a i Cieśniny Magellana) drogą morską łączącą Atlantyk z Pacyfikiem. Kraje Ameryki Południowej początkowo nie prowadziły jednak w tym miejscu osadnictwa – rejon był trudno dostępny i charakteryzował się surowym klimatem. Kwestię przebiegu granicy rozwiązano układem z 1881 roku, przyznającym Chile wyspy na południe i zachód od Ziemi Ognistej oraz kanału, Argentynie przypadły zaś wyspy położone od niego na wschód. Niedługo później Argentyńczycy założyli na Ziemi Ognistej miasto Ushuaia będące po dziś dzień największym portem w rejonie Kanału Beagle.

Niestety układ z 1881 roku nie okazał się wystarczająco precyzyjny, przez co zamiast rozwiązać problem, tylko go pogłębił. Zdecydowały o tym trzy wyspy – Lennox, Nueva i Picton – położone u wylotu Kanału Beagle do Oceanu Atlantyckiego. Jak się szybko okazało, Argentyńczycy uznali, że nazwa „Kanał Beagle” określa jedynie cieśninę pomiędzy Ziemią Ognistą a dużymi wyspami (Navarino, Magallanes, Gordon). W ten sposób traktowali oni Lennox, Nuevę i Picton jako wyspy położone na wschód od Kanału Beagle, a więc – zgodnie z układem – przynależące do ich państwa. Z kolei w interpretacji chilijskiej Kanał Beagle kończył się pomiędzy Ziemią Ognistą a wyspą Nueva. W ten sposób wszystkie trzy wyspy znajdowały się na południe od Kanału, zatem powinny należeć do Chile. Ciekawie wypada porównanie różnych map Ameryki Południowej z tych czasów – południowy odcinek granicy pomiędzy Argentyną i Chile mógł mieć kilka wersji na różnych mapach wydawanych w krótkim odstępie czasu. Problem stał się jednak tym większy, że obie strony zaczęły sobie uświadamiać strategiczne znaczenie trzech niedużych wysp. Zwierzchnictwo nad Lennox, Nuewą i Picton oznaczało w praktyce kontrolę nad potencjalnym szlakiem handlowym przez Kanał Beagle, a także stanowiło podstawę do wysuwania roszczeń terytorialnych na Antarktydzie. Szybko okazało się również, że wody przybrzeżne stanowią bardzo bogate siedlisko ryb i lwów morskich, a w okolicy mogą znajdować się złoża su-

rowców mineralnych oraz ropy naftowej.

Już pod koniec XIX wieku oba państwa wysłały w rejon Kanału Beagle oddziały wojska. Punktem przełomowym miał być pakt majowy z 1902 roku, kiedy to Argentyna i Chile zgodziły się na arbitraż brytyjski w przypadku eskalacji konfliktu. W dalszym ciągu dochodziło jednak do pojedynczych incydentów, takich jak strzelanina z 1965 roku, w której zginął jeden Chilijczyk, a obydwa kraje przeprowadzały u ujścia kanału kontrolę celną. Ostatecznie w 1971 roku postanowiono skorzystać z zagwarantowanego układem majowym arbitrażu. 2 maja 1977 roku po konsultacji z Międzynarodowym Trybunałem w Hadze Elżbieta II ogłosiła werdykt przyznający Chile prawa do wysp Nueva, Picton i Lennox oraz prawa morskie na terenie Kanału Beagle. Korzystny dla Santiago wynik został odrzucony przez Argentynę. Nie bez wpływu były tu też zmiany, jakie w międzyczasie zaszły w polityce obu państw – w Chile lewicowego prezydenta Salvadora Allende zastąpił w 1973 roku Augusto Pinochet, zaś w Argentynie po ostatnim kilkumiesięcznym okresie rządów Juana Peróna, a następnie jego ostatniej żony Isabelity, doszło do zamachu stanu, w którego wyniku rządy przejęła junta wojskowa pod przywództwem Jorge Rafaela Videli. W praktyce obie strony zaczęły przygotowywać się do rozstrzygnięcia siłowego. Argentyni w ramach operacji „Soberanía” zaplanowali początek zbrojnej interwencji na trzech spornych wyspach na dzień 22 grudnia 1978 roku.

A więc wojna?

Do ataku jednak nie doszło – ani w przeddzień Bożego Narodzenia 1978 roku, ani nigdy później. Grudniowy termin został początkowo przesunięty z powodu niesprzyjających warunków pogodowych – nie to jednak zadecydowało o odwołaniu planów. Do akcji wkroczyła zaniepokojona rozwojem wydarzeń Stolica Apostolska. Nowy papież, wybrany zaledwie dwa miesiące wcześniej Jan Paweł II, wysłał do Buenos Aires w charakterze mediatora doświadczonego watykańskiego dyplomatę, kard. Antonio Samoré. Jednocześnie 22 grudnia Ojciec Święty osobiście zatelefonował do generała Videli, proponując pomoc w mediacji, a sekretariat stanu poinformował o tym fakcie przedstawicielstwa dyplomatyczne przy Stolicy Apostolskiej oraz media. Przywódcy Argentyny i Chile – obaj zresztą deklarujący się jako katolicy – zgodzili się na papieską mediację, a w układzie podpisanym już 8 stycznia 1979 roku w Montevideo zobowiązali się przyjąć werdykt Jana Pawła II jako obowiązujący. W tym



źródło: yt.com

samym dniu generałowie Videla i Pinochet zarządzili w swoich krajach demobilizację, odsuwając – przynajmniej na razie – widmo zbrojnej konfrontacji.

Na wiosnę 1979 roku rokowania przeniosły się do Watykanu. Kardynał Samoré kontynuował rozmowy z obydwoma stronami, odprawiając także – podobnie jak wcześniej w Buenos Aires – szereg nabożeństw w intencji pokoju. Ten etap mediacji zakończył się w grudniu 1980 roku, kiedy Jan Paweł II przedstawił pierwszą propozycję pokojową. Została ona zaak-

ceptowana przez Chile, ale odrzucona przez stronę argentyńską. Pertraktacje toczyły się więc dalej, choć już zdecydowanie mniej dynamicznie. Miał na to wpływ szereg wydarzeń niezwiązanych bezpośrednio z konfliktem, jak przykładowo dokonany w maju 1981 roku zamach na papieża. Rok później argentyńska junta, chcąc odmienić coraz gorsze nastroje społeczne, wplątała kraj w bezsensowną i krwawą wojnę z Wielką Brytanią o Falklandy. Po początkowych sukcesach Argentyńczycy ponieśli klęskę, a upadek skompromitowanej junty w 1983 roku umożliwił demokratyzację kraju. W 1983 roku również zmarł kard. Samoré, a jego obowiązki przejął Sekretarz Stanu kard. Agostino Casaroli.

Decydujące znaczenie dla dalszych pertraktacji miała zmiana atmosfery politycznej w Argentynie. Po wojnie o Falklandy społeczeństwo – podobnie jak nowy prezydent Raúl Alfonsín – z niechęcią myślało o kolejnych konfliktach. Mediacje zdecydowanie przyspieszyły, a już jesienią 1984 roku – na podstawie propozycji kard. Casarolego – wypracowano traktat pokojowy. *Traktat o Pokoju i Przyjaźni argentyńsko-cylijskiej* podpisano w Watykanie 29 listopada 1984 roku, a następnie ratyfikowano go na wiosnę 1985 roku. Ostatecznie wyspy Picton, Nueva i Lennox zostały przyznane Chile, Argentyna otrzymała jednak prawa do żeglugi po Kanale Beagle i Cieśninie Magellana. Zmniejszono także obszar wód terytorialnych (do trzech mil od brzegu), przez co faktycznie żadna ze stron nie zyskała pełnej kontroli nad kanałem.

Watykan w służbie pokoju

Z perspektywy ponad trzydziestu lat należy uznać, że traktat z 1985 roku nie tylko rozwiązał konflikt o Kanał Beagle, ale także zbliżył do siebie rządy Santiago i Buenos Aires. Współpraca pomiędzy Argentyną i Chile stale się rozwija. Warto również nadmienić, że w latach dziewięćdziesiątych rozwiązano pozostałe spory graniczne dotyczące rejonów Laguna del Desierto i Campos de Hielo Sur.

Historia konfliktu o Kanał Beagle zajmuje również ważne miejsce w historii papieżstwa, szczególnie



Kard. Antonio Samoré w 1978 roku.

źródło: wikimedia.org

zaś papieskiej dyplomacji. W tym kontekście warto spojrzeć na nią oczami papieża Jana Pawła II, dla którego musiała być ona naprawdę ważna – w końcu postanowił mocno zaangażować się w mediację zaledwie dwa miesiące po swoim wyborze na Stolicę Piotrową. Konflikt o Kanał Beagle miał charakter raczej lokalny i prawdopodobnie nie groził poważniejszą destabilizacją regionu. Papież doskonale rozumiał jednak, że tylko Stolica Apostolska może być w tym konflikcie skutecznym i sprawiedliwym arbitrem. Pozycję papieża wzmacniał fakt, iż w obu krajach zarówno ówcześni przywódcy, jak i duża część społeczeństw była katolicka. Warto również pamiętać, że w latach powojennych w Ameryce Południowej rozpowszechnił się heretycki nurt tzw. „teologii wyzwolenia”, nawołujący do rewolucji i walki w imię Chrystusa. Papież, przyjmując rolę pokojowego mediatora w konflikcie w tej części świata, pokazywał przy okazji, czym tak naprawdę jest chrześcijaństwo i zwalczał tym sposobem teologię wyzwolenia.

Oczywiście, Jan Paweł II mógł się ograniczyć do wezwania do pokoju – i na tamtą chwilę wezwanie to mogło nawet odnieść skutek. Konflikt jednak nie zostałby rozwiązany, a papież nie chciał go tylko chwilowo przytłumić, lecz ostatecznie rozwiązać i wszystko wskazuje na to, że mu się udało. Konflikt o Kanał Beagle był ważnym krokiem dla papieskiej dyplomacji, która pokazała skuteczność i wzmocniła swoją pozycję międzynarodową przy okazji kolejnych mediacji. Okazało się to również sukcesem papieża, który w tamtym momencie został powszechnie uznany za obrońcę pokoju. Warto wspomnieć, że mediacje dotyczące Kanału Beagle stanowiły w późniejszych latach jeden z głównych argumentów za przyznaniem Janowi Pawłowi II Pokojowej Nagrody Nobla.

Konflikt o Kanał Beagle nie był oczywiście jedynym przypadkiem papieskiej interwencji. Sam Jan Paweł II często angażował się w spory polityczne, opowiadając się zawsze po stronie pokojowego rozwiązywania problemów. Tak działo się chociażby w przypadku wojny domowej w Libanie, wojny w Zatoce Perskiej, wojny w Afganistanie czy wojny w Kosowie. Dotyczy to również innych papieży i warto wspomnieć chociażby postawę Piusa XII w czasie II wojny światowej, św. Jana XXIII w czasie kryzysu kubańskiego czy obecną gotowość Franciszka do mediacji w konflikcie powstałym w Wenezueli. Hi-

storia mediacji w sporze pomiędzy Chile i Argentyną jest jednak na swój sposób wyjątkowa, choć po kilkudziesięciu latach zdążył ją pokryć kurz zapomnienia. Stanowi ona bowiem świetny przykład słusznej, zdecydowanej, mądrej – a co najważniejsze – skutecznej interwencji papieża w konflikt międzynarodowy.





źródło: unsplash.com

Po Namyśle: Czy dać sobie święty spokój?



Krzysztof J. Namyślak

KAP, KAP, KAP. Słyszycie? To kropla drąży skałę. To pojedyncze akty ludzi dobrej woli, które wpływają na ogólny kształt Kościoła. To cierpliwość, z jaką rozmawiają – zarówno z wierzącymi, jak i niewierzącymi, zarówno z kapłanami, jak i ze świeckimi.

Zdarzają się w życiu takie momenty, kiedy uaktywnia się „kompleks zbawiciela”. To te chwile, kiedy jest się przekonanym, że w relacji z drugim człowiekiem można odegrać kluczową rolę w zmianie jego postępowania i ogólnej poprawie jego życia duchowego. Entuzjazm takiego „naprawiacza” może przybierać wiele postaci. Czasem niestety bardziej przypomina powódź, która niszczycielskim żywiołem wdziera się w egzystencję i wywołuje jedynie potrzebę stawienia jej oporu. A czasem to, czego często potrzeba takiej pogubionej osobie, to świadectwo życia, spokojna rozmowa czy okazanie wsparcia (acz wcale niekoniecznie poparcia).

Natychmiastowy efekt

Znajomy opowiadał mi kiedyś, jak to próbował pomóc pewnej dziewczynie. Jej rodzice i rodzeństwo

byli bardzo wierzący i starali się jej tę wiarę przekazać. Niestety, pomimo ich starań, w gimnazjum córka wpadła w nienajlepsze towarzystwo. Zaczęła kwestionować ich autorytet oraz celowość wiary, pić alkohol, palić papierosy, a później nawet się samookaleczać. Koleżanki coraz bardziej się o nią martwiły, więc przyszły do mojego kolegi. Kiedyś przy spotkaniu zagaił ją, co słychać, jak jej się życie układa. Na początku nie chciała z nim rozmawiać. Później jednak zaczęła się trochę otwierać i przy tym chwalić swoimi „osiągnięciami”. Opowiadała, jak to na nikim jej nie zależy, że radzi sobie sama. Że Bóg nie jest jej do niczego potrzebny i że to, w co wierzą katolicy, jest śmieszne. Nie przeszkadzało jej to w przystępowaniu do Komunii i współprowadzeniu jednej z dziecięcych wspólnot parafialnych. Mój znajomy zaczął przekonywać ją do powrotu na właściwą ścieżkę. Trwało to parę miesięcy. W pewnym momencie było już tak dobrze, że dziewczyna zgodziła się na walkę z nałogiem tytoniowym i – co ważniejsze – na spowiedź. Wszystko było już załatwione. Zaufany znajomy ksiądz mojego kolegi był już umówiony. I wtedy dziewczyna niespodziewanie się wycofała. Wówczas mój kolega, który dotąd był przekonany, że wszystko mu się udało, tak był rozzaczarowany, że swoim rozzaczowaniem zaprzepaścił całe miesiące pracy. W jednej chwili z cierpliwego „drażnienia” jego pomoc zmieniła się w silny nurt rzeczny. Stwierdził, że jak nie prośbą, to może groźbą. Strasył, że wyda ją rodzicom, proboszczowi. Z jednej strony czuł, że teraz już tylko pogarsza sprawę, ale z drugiej strony chciał chociaż ratować przed nią wspólnotę, którą współprowadziła. Ale dziewczyna ani się nie nawróciła, ani nie odeszła ze wspólnoty.

Tę historię opowiadał mi dawno temu, kiedy sprawa była jeszcze świeża. Już wtedy miał poczucie winy, że stracił cierpliwość. Gdyby nie to, może ta historia potoczyłaby się inaczej...

Lata oczekiwania

Sprawa bliska części czytelników. Zbieranie podpisów pod prośbą o msze święte w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego. Należy znaleźć wiernych, którzy są skłonni się zaangażować. Później trzeba chodzić od parafii do parafii i pytać proboszczów, czy byliby w stanie przyjąć pod swój dach środowisko tradycyjne. Następnie kwestia księdza, który potrafi odprawiać w tym rycie. A jeśli nie potrafi, to czy da radę się nauczyć. Jeżeli odmówi, szuka się dalej. Jeśli zgodzi





się na podjęcie nauki, trzeba mu pomagać i w pewien sposób „pilnować”, czy robi w tej nauce postępy. I kiedy ma się to wszystko, można z tymi argumentami ruszyć na lokalną kurię z nadzieją na przyjęcie i akceptację. Jeśli brakuje któregoś z elementów, należy mieć nadzieję, że lokalna władza kościelna będzie na tyle przychylna, iż zaoferuje pomoc w zakresie chociażby zorganizowania kapłana. Czasem cały proces trwa krótko, a czasem wiele lat. I kiedy już uda się do-

piąć wszystko i rozpocząć regularne celebracje – na początek co miesiąc – wtedy zawsze pojawiają się malkontenci, którzy uznają, że jeśli od początku msza nie będzie odprawiana codziennie, to trudno przedsięwzięcie nazwać sukcesem. A tymczasem niejednokrotnie trzeba cierpliwości. Właśnie tego spokojnego i systematycznego drażenia w skale struktur parafialnych, dekanalnych czy diecezjalnych, żeby doprowadzić do zamierzonego celu. Żeby po latach pewnej na pozór prowizorycznej inicjacji doprowadzić do upragnionego powstania regularnego duszpasterstwa.

Ciężka praca

A jak się to ma do naszych rzeczywistości parafialnych? Wielu ludzi uczęszczających na msze do swoich parafii narzeka – i słusznie – że świąteczne liturgie niemal niczym nie różnią się swoją uroczystością od mszy celebrowanych w dni powszednie. A oni widzieliby „wersję minimum” takiej niedzielnej sumy z pełną asystą, kanonem rzymskim, procesją z księgą Ewangelii, kadzidłem, aspersioną... Po drugiej stronie mamy przeciętnego parafialnego proboszcza, który martwi się, że kiedy równie przeciętni wierni znienacka zostaną zaskoczeni podobnym „rozszerzeniem”, postanowią „zagłosować nogami” przeciwko takim radykalnym zmianom. I taki proboszcz ma pełną rację! Tego typu zmian nie można wprowadzać z tygodnia na tydzień, zwłaszcza biorąc pod uwagę kiepską katechizację wspomnianego przeciętnego wiernego. Tutaj analogię „kropki drażącej skórę” zamieniłbym na „metodę gotowanej żaby”. Stopniowo podkręcamy „temperaturę” celebracji, co parę miesięcy dodając nowy element. Po paru latach wszystko to, czego niegdyś na tej mszy nie było, zostanie uznane za jej naturalny element.

Na wszystko potrzeba czasu. Łatwo przedobrzyć, a wtedy bardzo szybko można usłyszeć „daj mi święty spokój”. Miejmy jednak nadzieję, że cierpliwa praca na rzecz bliźniego lub wspólnoty nie będzie bezowocna, a wszelkie dobre dzieło stanie się prawdziwym świadectwem naszej wiary, nadziei i miłości.



Poznajmy prawo kanoniczne – wprowadzenie



Joanna Smarzyńska

Wiele zagadnień związanych z prawem Kościoła katolickiego obrosło mitami. Przykładowo mało kto wie, że do chrztu nie potrzeba aż dwóch chrzestnych albo że nasza parafia niekoniecznie jest tam, gdzie wpis w księdze parafialnej, nie wspominając już o kwestii stwierdzenia nieważności małżeństwa. Stąd zrodził się pomysł na poniższy cykl, w którym postaram się przybliżyć tajniki prawa kościelnego. W tym artykule spróbuję w ogólnym zarysie przedstawić, czym jest Kodeks prawa kanonicznego, jakie źródła prawa wymienia oraz jakimi zasadami należy kierować się przy jego interpretacji.

Podstawowym dokumentem prawnym Kościoła rzymskokatolickiego jest uchwalony przez papieża Jana Pawła II w 1983 roku *Kodeks prawa kanonicznego*. Stanowi go zbiór kościelnych aktów prawnych regulujących funkcjonowanie Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego. Papież Jan Paweł II wydał nowy Kodeks, który zastąpił ten, którego używano do 1917 roku. Warto zauważyć, że katolickie Kościoły wschodnie posiadają swój własny Kodeks, promulgowany w 1990 roku. Co ciekawe, na obe te Kodeksy ogromny wpływ miało wyszczególnienie w średniowieczu prawa kanonicznego jako odrębnej dyscypliny. Stało się to w okresie ogromnego zainteresowania prawem rzymskim, które z kolei odegrało ogromną rolę w kształtowaniu prawa kanonicznego. Jego wpływ dostrzec można w fak-

cie, iż prawo rzymskie w prawie kanonicznym stosowano pomocniczo aż do 1917 r.(czyli powstania poprzedniego *Kodeksu prawa kanonicznego*). A stało się to za sprawą papieża Lucjusza III, który w 1185 r. w jednym z dekretów polecił wypełnić lukę w prawie kościelnym właśnie prawem rzymskim, formułując niejako taką zasadę.

Nowy Kodeks prawa uwzględnia postulaty Soboru Watykańskiego II, lecz mimo iż można określić go jako podstawowy zbiór praw Kościoła łacińskiego, nie stanowi on jedyne źródła prawa kanonicznego (są nimi również m.in. zawarte w księgach liturgicznych przepisy dotyczące sprawowania sakramentów). Na kartach jego siedmiu ksiąg znajdziemy nie tylko tzw. normy ogólne, czyli przepisy dotyczące przykładowo urzędów w Kościele, ale również regulacje dotyczące przestępstw i sankcji w Kościele wraz z przepisami określającymi zasady przeprowadzania procesów kościelnych. Kodeks reguluje więc funkcjonowanie Kościoła we wszystkich jego aspektach, a jego podstawową jednostką redakcyjną jest kanon.

Co jest prawem?

Pierwsza księga Kodeksu odpowiada na wyżej postawione pytanie. Stanowią ją normy ogólne – instrukcje co do wyłożonych w nim przepisów prawa kanonicznego. W tej części wymienione są również kościelne akty prawne, takie jak ustawy kościelne, zwyczaje, dekryty i instrukcje oraz statuty i przepisy porządkowe. Kodeks wyróżnia także akty prawne dotyczące kwestii organizacyjnych w mniejszej wspólnotie.



źródło: pixabay.com

Jak interpretować normy Kodeksu?

Z pomocą przychodzi nam kanon 17, który wskazuje, by po pierwsze kierować się zasadami gramatyki i logiki nie tylko według znaczenia powszechnie nam znanego, ale również tego obowiązującego w obiegu kościelnym, teologicznym, prawnym i kanonicznym. Gdyby jednak uzyskane znaczenie było niepewne i niejasne, musimy sięgnąć do tzw. reguł pomocniczych, tj. zinterpretować analogicznie przepisy dotyczące tego samego przedmiotu, regulujące wątpliwą kwestię w taki sam sposób, albo wyrażających tę

samą zasadę prawa. Następnie musimy uwzględnić cel tych przepisów.

Należy też pamiętać, że władzę co do wiążącej interpretacji posiada papież oraz specjalna rada przez niego powołana, tj. Papieska Rada ds. Tekstów Prawnych. Ponadto na wniosek zainteresowanych stron rada rozstrzyga, czy ustawy partykularne i dekrety ogólne wydane przez ustawodawców niższych od władzy najwyższej są zgodne z powszechnym prawem Kościoła. Ważną rolę odgrywają także orzeczenia Trybunałów Apostolskich (tj. Roty Rzymskiej oraz Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej). Mimo że wiążą one tylko osoby i sprawy, których dotyczą, mają często wpływ na kształtowanie się rozumienia kanonów (por. ks. T. Rozkrut, *Jak interpretować normy kodeksowe? Prawo kanoniczne wyrazem jedności Kościoła*, „Tarnowskie Studia Teologiczne”, 2012).

Kto podlega normom prawa kanonicznego?

Kanon 11 wskazuje, że prawu temu podlegają ochrzczeni w Kościele katolickim lub do niego przyjęci pod warunkiem jednak, że „posiadają wystarczające używanie rozumu” oraz – jeśli ustawa wyraźnie nie stanowi inaczej – ukończyły siódmy rok życia. Jest to ważna informacja, zwłaszcza jeśli próbujemy zaciągnąć na siłę małe, niewystarczająco w tym aspekcie świadome dziecko do Kościoła, co czasem prowadzi do powstawania podczas liturgii powodowanego zachowaniem malucha chaosu. Pełnoletnim członkiem Kościoła jest zaś osoba, która ukończyła osiemnasty rok życia, co oznacza, że przysługuje jej zgodnie z kan. 98 § 1 „pełne wykonywanie jej uprawnień”.

Gdzie znajduje się moja parafia?

Wbrew pozorom nie zawsze tam, gdzie podpowiada nam intuicja. Kodeks wyróżnia tu zamieszkanie stałe i tymczasowe – i w obu przypadkach mamy do czynienia z parafią. Jest to mało intuicyjne zwłaszcza w odniesieniu do studentów. Kodeks mówi, że aby zostać parafianinem, wystarczy przebywać na terenie jakiejś parafii z zamiarem pozostania tam przynajmniej przez trzy miesiące bez przerwy albo w razie gdy pobyt przedłużył się do trzech miesięcy. Jak widać, aby zostać parafianinem, nie trzeba wpisywać się do żadnych ksiąg.



źródło: unsplash.com



Czy Kodeks jest Kościołowi niezbędny?

Trudno byłoby okiełznać tak skomplikowaną i olbrzymią organizację bez ustanowienia jakichś spójnych zasad. Próby ujednolicenia praw dostrzec można już w Nowym Testamencie, w rozdziale piętnastym Dziejów Apostolskich – podczas tzw. soboru jerozolimskiego, gdzie rozważano kwestię obrzezania i konieczności przestrzegania prawa możeszowego przez pogan. Piękna rzymska paremia głosi, że prawo jest sztuką tego, co dobre i słuszne. W liście do seminarzystów z 2010 roku papież Benedykt XVI napisał: „Uczcie się także rozumieć i – ośmielam się powiedzieć – kochać prawo kanoniczne, biorąc pod uwagę jego istotną konieczność i formy praktycznego zastosowania”. Zaznaczył, że bez prawa społeczeństwo zostałoby pozbawione praw, których istnienie stanowi warunek miłości. Prawo kanoniczne jest dziełem rozwijanej przez wieki myśli prawnej Kościoła i ma ono służyć zbawieniu dusz, jak zaznacza się w ostatnim kanonie Kodeksu. W konstytucji apostolskiej *Sacrae Disciplinaе leges* Jan Paweł II zauważył, że w Kodeksie i prawie nie chodzi o to, by zastąpiły one Kościół. Raczej mają one na celu ustanowienie porządku w społeczności opartej na miłości, łasce i charyzmatkach tak, aby mogła się ona dobrze rozwijać.

Podsumowanie

Niejedną osobę zafascynować może uporządkowanie Kościoła w kwestii jego własnych organizacji, a także praw i obowiązków członków. Niewątpliwie spaja ono Kościół na całym świecie. Nam jako wiernym gwarantuje równe traktowanie oraz poczucie przynależności do wielkiej, a zarazem dobrze zorganizowanej wspólnoty. Warto sięgnąć czasem do Kodeksu, by zapoznać się zwłaszcza ze wspomnianymi wcześniej naszymi prawami oraz obowiązkami. O nich przeczytać będzie można już w następnej części.



Nieplanowane poczęcie



Dorota Ślęczek

Wrocławski dziennikarz „Gościa Niedzielnego” Maciej Rajfur od około dwóch lat organizuje przedpremierowe pokazy filmów o tematyce związanej z wiarą. Tym razem tuż przed uroczystością Wszystkich Świętych wybór padł na film *Nieplanowane*, który wywołał wielkie poruszenie wśród amerykańskiej społeczności i zmienił spojrzenie na aborcję. Wrocławskiemu dziennikarzowi bardzo zależało na tym, aby przyciągnąć do kin jak największą liczbę widzów.

Każdego dnia na świecie część kobiet dokonuje aborcji. Jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), w 2018 roku z rąk aborcjonistów zginęły około 42 miliony dzieci (por. *W 2018 roku zabito 42 mln dzieci aborcja w statystykach WHO*, [w:] *tvp.info*). Dla porównania podczas II wojny światowej w ciągu 6 lat zginęło około 55 milionów osób (por. *Straty po II wojnie światowej niepowetowane do dziś*, [w:] *polskieradio.pl*). Dodatkowo, Instytut Guttmachera i Światowa Organizacja Zdrowia wykazały, że około 45% aborcji przeprowadzonych w latach 2010–2014 naraziło kobiety na utratę ich zdrowia lub życia. Przyczyny są różne. Prezes Fundacji Małych Stópek, ksiądz Tomasz Kancelarczyk podaje, że „powodem [aktu aborcji – red.] jest szeroko rozumiany brak miłości, brak środowiska, które otoczyłoby miłością kobietę oraz jej nienarodzone jeszcze dziecko”. Natomiast Grzegorz Nienartowicz, prezes Fundacji dla Życia i Rodziny im. Jana Pawła II wymienia „strach przed wykluczeniem oraz reakcją rodzi-

ny i otoczenia” czy „chęci życia w luksusie” (*Wyniszczające konsekwencje aborcji*, [w:] *ostrzegamy.online*). Inspiracją do napisania tego artykułu stała się historia Abby Johnson, która przeszła głęboką przemianę serca, ale też chęć skupienia się na analizie dwóch antagonistycznych działalności, które zostały przedstawione w filmie *Nieplanowane – Planned Parenthood* (z ang. „Planowane rodzicielstwo”) i *40 Days for Life* (z ang. „40 dni dla życia”).

Od aborcjonistki po działaczkę pro-life

Ci, co byli na filmie *Nieplanowane*, mogli przyjrzeć się, jak wyglądało życie Abby Johnson, zanim się nawróciła. Wiele osób z pewnością może zadawać sobie pytanie, jak dziewczyna deklarująca się w szkole średniej jako zwolenniczka życia mogła stać się zagorzałą aborcjonistką, skoro wychowywała się w konserwatywnej rodzinie, działającej na rzecz życia, przeciw aborcji? Otóż rodzice nie przekazali córce istotnej wiedzy. Dlatego bez większych problemów dała się przekonać, przez wolontariuszkę stojącą przy różowym stoisku Planned Parenthood na szkolnych targach, do pracy w klinice, którą rozpoczęła w 2001 roku. Dodatkowym czynnikiem sprzyjającym podjęciu takiej decyzji była głęboka chęć niesienia pomocy kobietom w trudnym momencie ich życia. W ciągu ośmioletniej kariery szybko awansowała i została dyrektorem kliniki. Jednak w jej sercu narastał niepokój, gdyż widziała, że aborcja była dobrze sprzedającą się usługą, a nie czymś, co powinno się zwalczać. Początek radykalnej przemiany serca Johnson zapoczątkowało pewne wydarzenie. 26 września 2009 roku została poproszona o pomoc przy aborcji pod kontrolą USG. Jej zadaniem było przytrzymanie sondy ultradźwiękowej na brzuchu kobiety, aby lekarz mógł zobaczyć wewnątrz macicy. Abby, spojrzawszy na ekran, dostrzegła profil trzynastotygodniowego dziecka, które w łonie matki walczyło o życie i po chwili je straciło. Wówczas zrozumiała, czym tak naprawdę jest aborcja i jakiej sprawie poświęciła swoje życie. Postanowiła zwrócić się o pomoc do lokalnej grupy obrońców życia o nazwie 40 Days for Life. Choć Abby podpisała około dwadzieścia dwa tysiące zgód na aborcję, otrzymała bardzo konkretną pomoc od działaczy pro-life. Przysięgła sobie, że zacznie opowiadać się za życiem w łonie matki oraz ujawni prawdę, czym naprawdę jest aborcja. Dzisiaj Abby Johnson jest szczęśliwą matką dziesięciorga dzieci, wliczając dwójkę, która zginęła w wyniku aborcji (za: *abbyjohnson.org*). Ciekawostką jest to, że odtwórczyni głównej bohaterki *Nieplanowanych*, Ashley Bratcher, nieomal sama stałaby się ofiarą aborcji. Nie dowiedziałaby się o tym, gdyby nie przyje-



Kadr z filmu *Nieplanowane* (2019)

źródło: ytt.com

ła roli w filmie o Abby Johnson: „Moja mama zdobyła się na odwagę, by wyznać mi prawdę, jest więc oczywiste, że dotknęła ją ręka Boga i doznała uzdrowienia” – mówiła (*Miała zostać poddana aborcji, a dziś sama zagrała w filmie o nawróconej aborterce*, [w:] swiato-podglad.pl). Warto też wspomnieć o doktorze Anthony Levantino, który zagrał w *Nieplanowanych* lekarza dokonującego aborcji. Jego historia przypomina historię Abby, choć jest trudna i bolesna, bo do jego przemiany przyczyniła się śmierć jego córki pod kołami samochodu.



Pewnego dnia, kiedy już doszedł do siebie po żałobie, pojawił się na sali operacyjnej nr 9 Centrum Medycznego Albany, gdzie dokonał późnego zabiegu oraz poukładał części dziecka, by sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Patrząc na te „elementy”, nie zobaczył „wspaniałego prawa do wyboru” ani tego, że jest świetnym lekarzem, który pomógł pacjentce, ani też ośmiuset dolarów zarobionych w piętnaście minut. Zobaczył czyjegoś syna lub córkę i to najbardziej go uderzyło (*Najpierw zginęła jego córka. A potem przyszła ta „oszołomka”...*, [w:] gosc.pl).

Planned Parenthood

Założeniem Planned Parenthood – amerykańskiej organizacji non-profit – jest niesienie odpowiedzialności i fachowej pomocy kobietom, aby mogły prowadzić zdrowe życie oraz spełniać swoje marzenia. Odnosząc się do historii doktora Levantino – wspomnianej w powyższym akapicie – można mieć pod tym względem wątpliwości, zwłaszcza gdy wczytujemy się w historię organizacji na jej oficjalnej stronie. Planned Parenthood zostało założone 16 października 1916 roku przez Margaret Sanger (o której więcej można przeczytać w artykule Szymona Koziei w poprzednim numerze „Adeste”) – zwolenniczkę eugeniki i rasizmu. Kobieta publicznie głosiła, że należy bronić „narodu czystej krwi”, wyeliminować „śmiercionośne ciężary ludzkich nieużytków”, „biologiczne odpady” i „ludzkie chwasty”, co odnosiło się do przymusowego ograniczenia płodności i diety pewnych grup społecznych, do których zaliczały się osoby chore i biedne, a także Żydzi, Słowianie, Latynosi Murzyni, Indianie i katolicy (*Eugeniczne korzenie „Planned Parenthood”. Rozmowa z Grzegorzem Górnym*, [w:] teologiapolityczna.pl). Obecnie organizacja zrzesza ponad sześćset „ośrodków zdrowia” w całych Stanach Zjednoczonych. Oferuje wysokiej jakości, niedrogą „opiekę zdrowotną” dla dorosłych kobiet i mężczyzn oraz dla młodzieży. Planned Parenthood prowadzi największą w kraju promocję edukacji seksualnej. Niewątpliwie wpływ na założenie przez Sanger tej organizacji miała historia jej matki, która choć była delikatnego zdro-



wia (zmarła w wieku 50 lat na gruźlicę), zaszła kilkanaście razy w ciążę, z których siedem zakończyło się poronieniem. W czasie podróży do Europy Margaret studiowała metody kontroli urodzeń. W USA było to wtenczas uważane za nieprzyzwoitą praktykę. Jednak już w 1936 roku zaczęło się to zmieniać, począwszy od Nowego Jorku, Connecticut i Vermont. U schyłku lat sześćdziesiątych kontrola urodzeń stała się legalna w całych Stanach, wraz z równocześnie postępującym prawem do wykonywania legalnej aborcji. Warto wspomnieć, że ludobójcze dzia-

łania ze strony nazistów, jakie miały miejsce podczas II wojny światowej, nie sprawiły odejścia Planned Parenthood od głównego celu o charakterze depopulacyjnym. Co gorsza, organizacja w dalszym ciągu unowocześnia środki przyczyniające się do „skutecznej” kontroli urodzeń. Często takie działania prowadzone są kosztem zdrowia drugiego człowieka, jak miało to miejsce w przypadku tabletki antykoncepcyjnej. W latach pięćdziesiątych Planned Parenthood było inicjatorem badań nad jej działaniem. Testy przeprowadzono na portorykańskich kobietach bez ich świadomej zgody. Pacjentki poddane eksperymentowi doświadczyły nieprzyjemnych skutków ubocznych, takich jak zawroty głowy, skurcze i wymioty (za: plannedparenthood.org). Ówczesna szefowa organizacji Leany Wen ogłosiła na Twitterze, że misją Planned Parenthood jest „zapewnienie, ochrona i rozszerzanie dostępu do aborcji oraz troska o zdrowie reprodukcyjne. Nigdy się z tej walki nie wycofamy – to fundamentalne prawo człowieka...” („Nieplanowane” postrachem aborterów, [w:] idziemy.pl).

40 Days for Life

Na szczęście działają na świecie organizacje, które chcą położyć kres niesprawiedliwości aborcyjnej. Jedną z nich jest czterdziestodniowa kampania modlitewna pro-life prowadzona na arenie międzynarodowej. Inspiruje ona społeczeństwa na całym świecie do modlitwy, postu i zwalczania aborcji na poziomie lokalnym. Ten największy pokojowy ruch antyaborcyjny został założony w 2004 roku przez czterech członków, w tym Davida Bereita i Shawna Carneya, którzy pragnęli modlić się o zakończenie aborcji w Dolinie Brazos. Nazwa 40 Days for Life odnosi się do wydarzeń biblijnych, w których Bóg wykorzystywał czterdziestodniowe etapy do przemiany jednostek, wspólnot i całego świata – począwszy od Arki Noego, przez Mojżesza na górze Synaj, po uczniów po zmartwychwstaniu Chrystusa (za: guardiana.com). Inicjatorzy postawili sobie za cel, że jeśli nikt do nich nie dołączy, to we czwórkę

przez całe dziewięćset sześćdziesiąt godzin będą na zmianę czuwać na modlitwie za dzieci zagrożone aborcją. Jednak w ciągu sześciu tygodni dzięki wielkiemu zaangażowaniu przyciągnęli do modlitwy tysiące osób. Efekt tej inicjatywy spowodował spadek wskaźnika lokalnej aborcji o 28%. Wierząc w Bożą pomoc, organizatorzy walczyli dalej, uruchamiając kampanię na poziomie krajowym, obejmującą zasięgiem osiemdziesiąt dziewięć miast w trzydziestu trzech stanach. Wkrótce przyszedł czas na inne kraje. Na dzień dzisiejszy udało się zorganizować kampanie modlitewne w siedmiuset sześćdziesięciu dziewięciu miastach w pięćdziesięciu krajach (por. *Filmem w olbrzymia*, [w:] *opiekun.kalisz.pl*). Na oficjalnej stronie 40 Days for Life podano, że dzięki modlitwie uczestników kampanii uratowano już 16 742 ludzkich istnień, 196 pracowników klinik aborcyjnych porzuciło swoją pracę, a 104 centra aborcyjne zostały zamknięte (por. tamże).

Warto obejrzeć film *Nieplanowane*, aby spojrzeć nie tylko na to, jakim to aborcja jest przemysłem śmierci, za który pracownicy otrzymują solidne wynagrodzenie. To także dramat kobiet, które przybywają tam po „pomoc”. Na przykładzie Planned Parenthood widzimy wyraźnie, jak poprzez ofertę „niesienia odpowiedniej i fachowej pomocy” pomaga się kobietom w „prowadzeniu mocnego, zdrowego życia” oraz „spełnianiu marzeń”. Przyciągają do kliniki zagubione i zrozpaczone kobiety w ciąży, które wierzą, że „aborcja może rozwiązać ich problem”. Zapomina się w ten sposób o dziecku, które też jest przecież odrębną istotą w łonie matki, a nie przedmiotem, który można zniszczyć. Takie postępowanie jest wręcz niesprawiedliwe, bo każdy ma prawo do życia, co idealnie ukazuje scena z filmu, kiedy dziecko będące w łonie matki broni się przed śmiercionośnymi szczypcami. Na oficjalnej stronie facebookowej Artur Jabłoński, członek zarządu Ruchu Obywatelskiego Miłośników Broni, napisał po obejrzeniu filmu, że „gdyby kobiety miały łono z kryształu, nie byłoby aborcji, bo widziano by cud życia”. Dlatego wiedząc, jak „chwytny” jest działanie organizacji typu Planned Parenthood, nie powinno się oceniać kobiet, które podjęły decyzję o aborcji. Zdarzają się ludzie, którzy bez oporu wykrzykują w ich stronę, że są „morderczyniami”. Często jest tak, że owe kobiety bardzo żałują swojej decyzji. Sam papież Franciszek po powrocie ze Światowych Dni Młodzieży w Panamie powiedział, że „trzeba być w konfesjonale, tam trzeba dać pocieszenie i dlatego dałem wszystkim kapłanom władzę rozgrzeszania aborcji ze względu na miłosierdzie” (*Franciszek w samolocie: w konfesjonale zrozumiałem dramat aborcji*, [w:] *deon.pl*). Film *Nieplanowane* pokazuje, że ostatecznie zwycięża miłość, która interesuje się sytuacją tych ko-

biet. Nie odrzuca. Oferuje bezinteresowną pomoc i modlitwę, które przynoszą owoc. Ten owoc potwierdza organizacja 40 Days for Life, która w przeciągu kilkunastu lat uratowała kilkanaście tysięcy ludzkich istnień. Dlatego myślę, że warto włączać do naszej codziennej modlitwy intencję za nienarodzone dzieci.



Kadr z filmu *Nieplanowane* (2019)

źródło: yt.com



źródło: unsplash.com

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój...”



Jakub Urbaniak

„Pokój na świecie? Tak, to ważna kwestia, ale co ja, zwykły szary człowiek, mogę dla niego zrobić? Przecież to sprawa rządzących i ludzi wysoko postawionych. Nie moja” – takie słowa i podobne można usłyszeć od wielu ludzi. Niektórzy myślą, że jeśli chodzi o dbanie o pokój na świecie, to nie mają oni żadnego znaczenia. Nic bardziej mylnego.

Spora część społeczeństwa utożsamia kwestię pokoju na świecie jedynie z tematem prowadzonych na świecie wojen, którym nieodłącznie towarzyszą głód, bieda i choroby, czyli krzywda setek tysięcy niewinnych ludzi. I nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież są to problemy o skali światowej, w które przez lata zaangażowały się rządy większości państw. Często jednak jako zwykli ludzie stoimy niejako obok tego wszystkiego. Między nami a sprawami wojen i pokoju na świecie stoi gruba szyba, która dystansuje nas od tego, co dzieje się po drugiej stronie i zapewnia bezpieczeństwo. W końcu widząc to wszystko, mamy wrażenie, że to nas nie dotyczy. Wszystkie sprawy dzieją się za daleko i zabieganie o pokój trzeba zostawić ludziom, którzy mają na niego realny wpływ. Czy jednak na pewno nie mamy żadnego wpływu na pokój?

Mikroskala

Na samym początku trzeba uświadomić sobie pewną rzecz. Mianowicie, że wszystko, co rozgrywa się w wielkiej skali, ma również swój równoważnik w naszym codziennym, prostym życiu. W naszym „mikroskopijnym” świecie. I sprawy zarówno świata wielkiego, jak i tego w mikroskali, są tak samo ważne. Dlatego nie mniej ważny od pokoju na świecie jest pokój naszej codzienności, pokój między nami – szarymi ludźmi. Jedynie gdy uświadomimy sobie, jak ważny jest on w naszym życiu, będziemy w stanie budować zdrowe społeczeństwo. I znowu pojawia nam się nieco większa skala – pokój w narodzie, ostatnio tak bardzo podzielonym i skłóconym. Dzisiaj jednak zajmiemy się pokojem w naszym najbliższym otoczeniu.

„...którzy wprowadzają pokój...”

Treść ośmiu błogosławieństw wypowiedzianych przez Jezusa podczas Kazania na Górze nie jest dla nas niczym obcym. Wiele osób musiało nauczyć się tekstu błogosławieństw podczas przygotowania do I Komunii Świętej bądź sakramentu bierzmowania. Jedno z jego wezwań będzie dla nas szczególnie ważne. Brzmi ono następująco: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5, 9). Jezus mówi nam wprost, że naszym obowiązkiem jest wprowadzanie pokoju. Jeśli chcemy być synami Bożymi, to musimy to robić. Czym jednak ten pokój jest? W opracowaniu do komentarza św. Grzegorza z Nyssy właśnie do wspomnianego fragmentu Ewangelii, możemy wyczytać jedną z najprostszych i najtrafniejszych definicji pokoju: to postawa miłości wobec bliźniego (Ks. Czyżewski B., „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój” (Mt 5,9) w interpretacji ojców Kościoła, „Verbum Vitae” 30, 2016). Ks. Czyżewski, dalej za św. Grzegorzem, wymienia te negatywne cechy, które są największym zaprzeczeniem miłości, czyli: „gniew, porywczność, zazdrość, mściwość, obłuda” (tamże, s. 236). I do tego momentu wszystko wydaje się banalnie proste. Dużo trudniejsze staje się odniesienie teorii do naszego codziennego życia. Do tych najprostszych sytuacji w ciągu dnia, w których najczęściej „dajemy ciała”. W których niejednokrotnie potrafimy pokazać, że daleko nam do bycia nazwanymi „synami Bożymi”.

Pokój w codzienności

Pamiętasz moment, w którym stałeś w kolejce w niedalekim supermarkecie, bardzo ci się śpieszyło, a starsza kobieta przed tobą stanowczo zbyt długo szukała drobnych? A potem pani kasjerka jeszcze dłużej wydawała ci resztę, bo oczywiście terminal był zepsuty? Albo te



źródło: pexels.com



źródło: unsplash.com

ułamki sekundy, kiedy autobus odjechał ci sprzed nosa, a ty machałeś kierowcy, żeby zaczekał na ciebie, a on tego nie zrobił? A może chwilę, kiedy po kilku godzinach czekania w kolejce do złożenia wniosku o stypendium okazało się że dziekanat akurat tego dnia wcześniej kończy pracę i nic nie załatwisz? I dzień w pracy, kiedy twój współpracownik znowu coś zawalił? Można by wymieniać podobne sytuacje w nieskończoność. Momenty frustracji, podenerwowania, wkurzenia (żeby nie użyć mocniejszego słowa). Być może w tych momentach miałeś nawet w głowie litanię nieprzyzwoitych słów, może wypowiedziałeś je na głos i potem jeszcze wyładowałeś swoją złość na kilka pierwszych spotkanych osobach. Tę skalę mam właśnie na myśli. Proste, codzienne sytuacje, w których „gniew, porywczność, zazdrość i mściwość” biorą nad nami górę. Oczywiście samo odczuwanie tych stanów nie jest złe, to część naszego życia. Liczy się to, co zrobimy z przychodzącymi do nas złymi emocjami.

Kiedy sprawą najwyższego honoru staje się zdenerwowanie na kaskerkę, panią w okienku na pocztę lub „kanara” w autobusie. Bo przecież w czymś nam zawinili, na pewno chcieli dla nas źle. Nie widzimy w tym nic więcej. A przecież można inaczej. Można spokojnie. Można wprowadzić choć odrobinę wspomnianego już wielokrotnie pokoju.

Wierność w małości

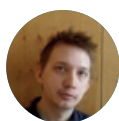
I ponownie pojawia się w nas myśl, że to przecież nie ma znaczenia. Po pierwsze najczęściej nie znamy tych ludzi osobiście i prawdopodobnie nie spotykamy ich już nigdy więcej. Po co przejmować się tak błahymi sprawami? W tym miejscu warto przytoczyć inne słowa Jezusa, tym razem z Ewangelii wg św. Łukasza: „Kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny” (Łk 16, 10). Małe rzeczy mają znaczenie. To one są początkiem wszystkiego i często to one potrafią najbardziej kształtować nasz charakter. Paradoks polega na tym, że najmniejsze rzeczy wymagają od nas najwięcej pokory. Wymagają żebyśmy zostawili swoje „ja” na uboczu. Czasem wymagają też, żebyśmy spojrzeli na oczywistą dla nas sprawę z perspektywy kogoś innego. Wydaje mi się, że często wolimy myśleć, że najmniejsze rzeczy nie mają znaczenia, tylko dlatego że wymagają od nas najwięcej. Warto jednak podjąć wyzwanie, jakie nam stawiają, bo będzie to zdecydowany krok ku pokojowi.

Czy w ten sposób zbawimy świat? Pewnie nie. I nie musimy, bo już został zbawiony przez Tego, kto nie dzielił rzeczy na ważniejsze i mniej ważne, ale wprowadzał pokój przez miłość i pokorę. Możemy jednak sprawić, chociaż w małym procencie, że świat wokół nas stanie się choć odrobinę lepszym i bardziej przyjaznym miejscem. W ten tak prosty, a jednocześnie tak trudny sposób będziemy mieli swój udział we wprowadzaniu pokoju. A kto wie, może pewnego dnia nasza wierność w małych rzeczach zostanie sprawdzona w wielkich? Może właśnie przez te drobne rzeczy kiedyś dostąpimy zaszczytu nazwania nas „synami Bożymi”?



źródło: unsplash.com

Sprzedaż wartości, nowa strategia korporacji?



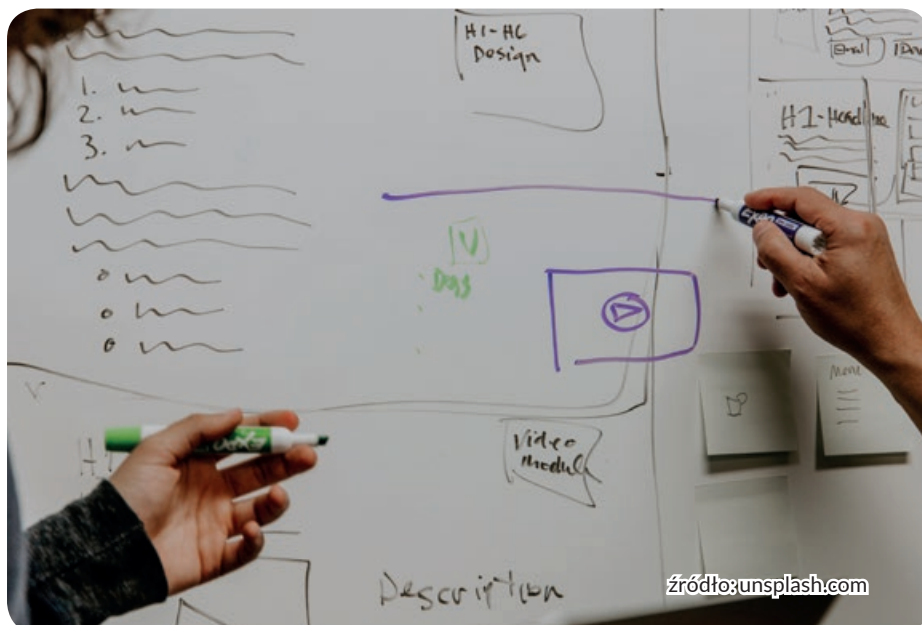
Piotr Krajski

Dzisiejsze światowe korporacje kojarzą nam się często negatywnie. Z agresywną ekspansją, wyzyskiem pracowników, niszczeniem środowiska czy łamaniem praw obywatelskich. W takiej atmosferze trudno o zaufanie klientów i poparcie społeczeństw. Wiele korporacji dostrzega jednak szansę w przededefiniowaniu swojej działalności: nadrzędnym celem nie ma być zysk i sprzedaż produktu, ale wartości. Co idzie za taką zmianą myślenia?

W 2016 roku do kin trafił debiut reżyserski Ewana McGregora *Amerykańska sielanka*. Opowiada on historię rodziny rozgrywającą się w burzliwych latach 60., gdy narastały konflikty na tle rasowym, protestowano przeciwko wojnie w Wietnamie i kreowała się rewolucyjna kontrkultura. W jednej ze scen ojciec rodziny dyskutuje z córką na temat jej politycznego zaangażowania. Na jego wątpliwości odpowiada ona, że wszystko jest polityczne, nawet „mycie zębów”. Co może mieć to wspólnego ze współczesną gospodarką?

Stare i nowe grzechy firm

Ukazując współczesną zmianę w myśleniu korporacji i firm w kwestii prowadzenia swojej działalności, warto odnieść się do dwóch tekstów, które dobrze obrazują pewną prawidłowość. W 2015 roku



w Sopocie miała miejsce konferencja poświęcona prowadzeniu biznesu. W jej ramach została opublikowana obszerna broszura pt: *Firma-idea: nowe podejście do wartości w biznesie*. Autorzy publikacji, Jerzy Hausner i Mateusz Zmyślony, zarysowują problem, jaki wiąże się ze współczesnym odbiorem korporacji.

Zauważają oni, że strapienie współczesnego kapitalizmu polega m.in. na „rozerwaniu związku między rynkiem i społecznymi

wartościami” (Hausner J., Zmyślony M., *Firma-idea: Nowe podejście do wartości w biznesie*, 2015, s. 2). Odejście firm od wartości doprowadziło do niszczenia środowiska naturalnego, łamania praw pracowników, uderzania w lokalny rynek czy zubożenia społeczeństw, biorąc pod uwagę działalność sektora bankowego. Problemem jest także to, że światowe korporacje oderwały się od społecznego otoczenia, są coraz słabiej „zakorzenione lokalnie” (tamże, s. 6). To wszystko zaś ma wpływ na to, że biznes jest społecznie negatywnie postrzegany.

Filozof polityki Łukasz Kobeszko pokazuje zaś, że ten problem ma swoje podłoże w XIX w., gdy powszechny był wyzysk pracowników i agresywna polityka firm (Kobeszko Ł., *Misjonarze marek*, „Plus Minus”, 2019, nr 28). Można powiedzieć, że historia lubi się powtarzać, a problem braku etycznych zachowań w gospodarce jest współcześnie równie palący.

Nowa wizja firmy

Jerzy Hausner i Mateusz Zmyślony w odpowiedzi na te wszystkie negatywne aspekty proponują, aby firmy odeszły od wąskiego ukierunkowania na zysk, kierując się także wartościami. Wyrazem tego powinna być nowa koncepcja firmy: „firma-idea”. Ma ona mieć określoną tożsamość, wyrażać pewne wartości, a nawet te wartości wytwarzać. Ta wytwórczość nie odnosi się jedynie do produktów, ale także tego, co przy okazji tych produktów komunikuje się społeczeństwom. W tej wizji firmy mają odchodzić od agresywnej reklamy, od traktowania klientów jako kolejnych „targetów”, które trzeba zdobyć i utrzymać. W tej koncepcji klient ma być kimś, kto wyznaje podobne idee do firmy, nie czuje się jedynie klientem, ale współtwórcą wartości, które owa firma wyznaje. Ma być włączony w proces tworzenia, nie tylko kupować, ale także angażować się w wizję, kierunek firmy, w którym ta w społecznym wymiarze podąża. Jako przykład autorzy przedstawiają np. firmę energetyczną, która zamiast akcentować sprzedaż samej energii powinna promować jej odnawialne źródła czy rozpowszechniać wiedzę na temat oszczędzania. W pewnym wymiarze ta koncepcja nie wydaje się zła, kiedy pod uwagę weźmie się także takie działania firm, jak odchodzenie od produkcji w krajach azjatyckich, w których wykorzystuje się pracowników, akcentowanie poszanowania dla środowiska naturalnego, dbania o lokalny

rynek czy promowanie zdrowego trybu życia. Większość tych rzeczy wpisuje się jednak dobrze w to, co dotychczas znane było pod nazwą „społeczna odpowiedzialność biznesu”. Koncepcja, która miała ukazywać, że firmy nie muszą szkodzić swojemu otoczeniu, lokalnej społeczności, mogą się kierować podstawowymi zasadami etycznymi, angażując się pozytywnie w otaczającą rzeczywistość.

Łukasz Kobeszko również zauważa, że w pewnym wymiarze kierowanie się wartościami czy też ideami przez firmy jest oczywiste. W końcu każde działanie ludzkie jest poparte jakąś ideą. Właściwie rozumiana etyka w gospodarce pozwala utrzymać zdrowe granice, nie doprowadzać do sytuacji, w której zysk zdobywany jest na wszelkie możliwe sposoby, nawet kosztem społeczeństw. Co jednak dzieje się, gdy koncepcja wspomnianej „idei-firmy” idzie dalej? Gdy nie chodzi już tylko o odpowiedzialność gospodarczą, ale także wyznaczanie pewnych kierunków społeczeństwom poprzez promowanie konkretnych wartości? Jak zauważa Łukasz Kobeszko, mamy tu do czynienia ze zmianą paradygmatu: „współczesne korporacje uznały za swoją nową – i niekiedy kluczową rolę społeczną – zmianę świata i kultury społecznej” (tamże, s. 6).

Nie sprzedajemy produktów, wytwarzamy wartości

Najlepiej tę kwestię pokazać na konkretnych przykładach. Autorzy publikacji jako przykład „firmy-idei” przedstawiają Ikeę. Jak zauważają, nie skupia się ona na podkreślaniu, że produkuje meble. Przedstawia całą koncepcję „domu”, rozumianego nie w kategoriach estetycznych, wygody czy oszczędności, ale jako pewnej wizji rodziny. W tę wizję wpisuje się także promocja środowisk LGBT, co całkiem niedawno skutkowało zwolnieniem polskiego pracownika za niezgadanie się z promowaniem owej ideologii. Można powiedzieć, że IKEA jako firma szwedzka promuje pewien model rodziny, który jest także związany ze szwedzkim sposobem myślenia o rodzinie. Jest to model, który, jak zauważa Łukasz Kobeszko, wpisuje się w „filozofię ponowoczesności: spory nacisk na wolność jednostki, płynność i niejednoznaczność tożsamości oraz kultywowanie oryginalności i wszelkiej kontrowersyjności” (tamże, s. 6). Niezależnie od tego, w jakim stopniu firma akcentuje te kwestie na zewnątrz, próbuje ona wychodzić z roli sprzedawcy mebli, przyjmując czasem rolę organizatora stylu życia.

Pozostając w kwestii wspomnianej przez Łukasza Kobeszko kontrowersyjności, można przytoczyć dwa przykłady firm, które zabierały głos w pewnych kwestiach, niejako sugerując, że kierują się one innymi kwestiami niż sprzedaż produktów i zysk.



źródło: unsplash.com

Jedna z firm produkujących rajstopy ukazuje na bilbordach kobiety w rajstopach zasłaniającą się przed mężczyzną, hasło nawiązuje do przeciwstawiania się przemocy domowej. Gdyby akcja ta organizowana była przed fundację czy organizację pozarządową, można by uznać to za element kampanii społecznej. W przypadku producenta rajstop podkreślenie przez niego, że ofiara przemocy nosi rajstopy, wydaje się być jedynie cynicznym wykorzystaniem tematu dla zwrócenia uwagi na własny produkt. Oczywiście można kwestionować, że ten pomysł wpisuje się w filozofię „firmy-idei” i stanowi jedynie krótkowzroczną próbę zwrócenia na siebie uwagi. W podobnie nieudany sposób robił to producent napojów energetycznych, który zabierał w swojej reklamie głos w sprawie Powstania Warszawskiego, nie tyle podważając jego sens, co je wyśmiewając. Można by powiedzieć, że w tym przypadku jeszcze bardziej na pierwszy plan wychodzi kwestia wzbudzenia kontrowersji dla zwiększenia zasięgu reklamy, nie zmienia to jednak faktu, że tak w przypadku producenta rajstop, jak i napoju energetycznego – kampania wyraża pewne wartości, porusza kwestie społeczne, niejako przykrywając swoją podstawową rolę, jaką jest sprzedaż produktu.

Bardziej zbliżony do przykładu Ikei jest przypadek Netflix, który przed zbliżającą się w Warszawie Paradą Równości bardzo mocno włączył się w kampanię reklamowania środowisk LGBT. Można by powiedzieć, że platforma filmowa nieco różni się od typowych firm, które sprzedają konkretne produkty. W przypadku tworzenia seriali i filmów siłą rzeczy wchodzi się na grunt społeczny, opowiadając historie, opisuje się także społeczności i współczesne zjawiska. Niemniej światowa korporacja wychodzi poza sferę dostarczyciela rozrywki, wkraczając na pole społecznego sporu na kilku płaszczyznach. Poziom skupienia się światowego potentata na promocji pewnych wartości ukazuje także fakt, że już kilka lat temu Netflix powołał specjalny zespół, który miał dbać o to, żeby w danych produkcjach właściwy udział procentowy miały osoby LGBT. Głośną sprawą był także szantaż przez firmę władz Stanu Georgia w związku z ich próbą zaostreżenia ustawy aborcyjnej. Firma ostrzegła, że wycofa swoją produkcję ze stanu (mogąc przez to wpłynąć także na całą rzeszę osób zatrudnionych), jeżeli ustawa zostanie wprowadzona w życie. W tej kwestii można by powiedzieć, że są to działania wykraczające poza sprzedaż produktu. Jednak wspomniana kampania na rzecz osób LGBT wiązała się jednocześnie z reklamą własnych seriali. Można powiedzieć, odwołując się do koncepcji Jerzego Hausnera i Mateusza Zmyślonego, że ideą, wokół której Netflix buduje swoją tożsamość, jest właśnie promocja LGBT i trudno uznać, że jest to wartość łącząca wszystkich użytkowników owej platformy.

Warto jednak zauważyć, że nie trzeba podawać tak radykalnych przykładów, by dostrzec, że koncepcja „firmy-idei”, która klientom bardziej akcentuje wartości, niż sprzedawane przez siebie produkty,



źródło: unsplash.com



źródło: unsplash.com

jest coraz bardziej powszechna. Zamiast sprzedaży smartfonów podkreśla się klientom niezależność, jaką zyskują, sprzedając ubrania, podkreśla się, że idzie się pod prąd modom, utartym schematom, oferując nowy samochód, producent przekonuje, że wybiera się inną jakość życia, w którą wpisany jest wręcz inny sposób postrzegania rzeczywistości.

Skutki dla codzienności

Łatwo na kilku wcześniejszych przykładach pokazać, jakie konsekwencje rodzi zmiana wizerunku firmy, opierająca się na akcentowaniu konkretnych wartości. Promocja konkretnych wartości, często nie wyznawanych przez ogół społeczeństwa, prowadzi do kolejnych podziałów. Przytoczony na początku artykułu przykład z *Amerykańskiej sielanki* dobrze oddaje to, co przez taką politykę firm dzieje się także z naszą sferą życia codziennego. Tak jak w retoryce lewicowej kontrkultury niemal każdy ludzki aspekt miał mieć znaczenie polityczne, jak owo mycie zębów, tak dzisiaj wybory konsumenckie obciążone są często nie tylko odpowiedzialnością za środowisko, ale także deklaracjami światopoglądowymi. Zamiast zakupu przydatnego z punktu widzenia życia codziennego produktu człowiek włączany jest w spór między różnymi grupami społecznymi. Czy naprawdę sferę tak codzienną i prozaiczną powinno się podporządkować takim kwestiom?

Inną równie ważną sprawą jest sytuacja pracownika danej korporacji względem wyznawanej przez nią wartości. Tę kwestię zauważa także Łukasz Łobeszko: „czy zatrudniający się w tych korporacjach pracownicy dzielą poglądy i zaangażowanie swoich szefów, ale również strategie sprzedaży nowoczesnych idei, a nie produktów i usług?” (tamże, s. 6). Przykład Ikei pokazuje, jak łatwo może dojść do podziału wśród pracowników, a także do presji i napięć, które sprawiają, że pracownik nie jest już w stanie



źródło: unsplash.com

być akceptowany w swoim miejscu pracy: nie ze względu na merytoryczne braki czy zaniedbania, ale wyznawany światopogląd.

Trzecią, być może najbardziej rażącą rzeczą jest instrumentalizacja wartości. Autorzy publikacji o „firmie-idei” pomimo przedstawienia optymistycznej wizji firmy „wytwarzającej wartości” przyznają sami, że działania te służą nadal zwiększaniu zysków i rozwojowi firmy. Opowiadanie się za danymi wartościami przez firmę ma niejako stanowić reakcję na „zagrożenie reputacyjne, na które narażone są wielkie korporacje” (Hausner J., Zmysłony M., *Firma-idea: Nowe podejście do wartości w biznesie*, 2015, s. 5). W ten sposób przesłaniają one swoje własne przewinienia w sferze gospodarczej i społecznej. Biorąc na swoje sztandary konkretne idee i wartości, niejako przesłaniają fakt, że nadal ich nadrzędną funkcją jest sprzedaż produktu i zysk. W ten sposób idee stają się instrumentami, nowoczesną formą marketingu i sposobem ocieplenia wizerunku. I choć Jerzy Hausner i Maciej Zmysłony podkreślają, że wcześniejszy model biznesowy ukierunkowany jedynie na zysk i pozbawiony wartości prowadził do „modelu gospodarki rynkowej, w którym nie ma granic komercjalizacji dóbr” (tamże, s. 2), to de facto to właśnie dzieje się często z ideami w koncepcji firmy, która teoretycznie nie skupia się na sprzedaży, a na wartościach. Gdy nie ma „granicy komercjalizacji dóbr”, komercjalizacji podlegają też dobra niematerialne – np. wartości – są sprzedawane tak jak produkty – z nimi, obok nich, przy okazji.

Kreuje się style życia, za którymi stoją ludzie od reklamy, menedżerowie, dyrektorzy wielkich korporacji – tych instytucji, które często same generują największe podziały społeczne, nierówności, straty dla środowiska i lokalnej społeczności. Samo także hasło użyte przy koncepcji „firmy-idei”: „wytwarzanie wartości” sugeruje sztuczny proces, produkcję, coś, co przeczy istocie prawdziwych wartości. Myśląc o polityce takich firm jak IKEA czy Netflix, aż chciałoby się doradzić, żeby po prostu szanowali prawa własnych pracowników, lokalnych miejsc pracy, by kierowali się uczciwością i etyką, zostawiając wybór co do wyznawanego światopoglądu każdemu z osobna. To wydaje się lepsze niż uczynienie z wartości kolejnego produktu.

a⁺

źródło: unsplash.com



Zwiastun przyszłości jedności i pokoju



Dawid Pindel

Bóg w każdym czasie obdarza wybranych mężczyzn i kobiety charyzmatami. Jednym z takich ludzi, których w pierwszej połowie XIX wieku Bóg obdarował swymi darami i natchnieniami, był św. Wincenty Pallotti. Przez całe swoje życie pragnął on bowiem jedności i pokoju.

Ten włoski święty przyszedł na świat przy Via del Pellegrino 130 w Rzymie 21 kwietnia 1795 roku, dokładnie w tym samym dniu, w którym świętuje się uroczyste założenie Rzymu. Właśnie z tym miastem Wincenty pozostał związany do końca swoich dni. Wieczne Miasto za jego czasów liczyło około 150 tysięcy mieszkańców. Rzym w jego czasach był stolicą Państwa Kościelnego aż do 1871 roku. Papież sprawował tam funkcję Namiestnika Chrystusowego dla Kościoła powszechnego. Samo miasto było w tym czasie miejscem ciągłych zamieszek rewolucyjnych. Można powiedzieć, że rewolucja była w stolicy Państwa Kościelnego stanem trwałym. Wincenty przeżył tu cztery rewolucje, z których najboleśniej dla niego była ta z lat 1848/1849. Musiał się wtedy ukrywać, aby nie stracić życia. Koniec XVIII wieku to czas rewolucji francuskiej, epoki napoleońskiej, Wiosny Ludów, zjednoczenia Włoch, czas trudny dla życia Kościoła. To epoka brzemienna w decydujące wydarzenia, które wywarły głęboki wpływ na życie przyszłego świętego.

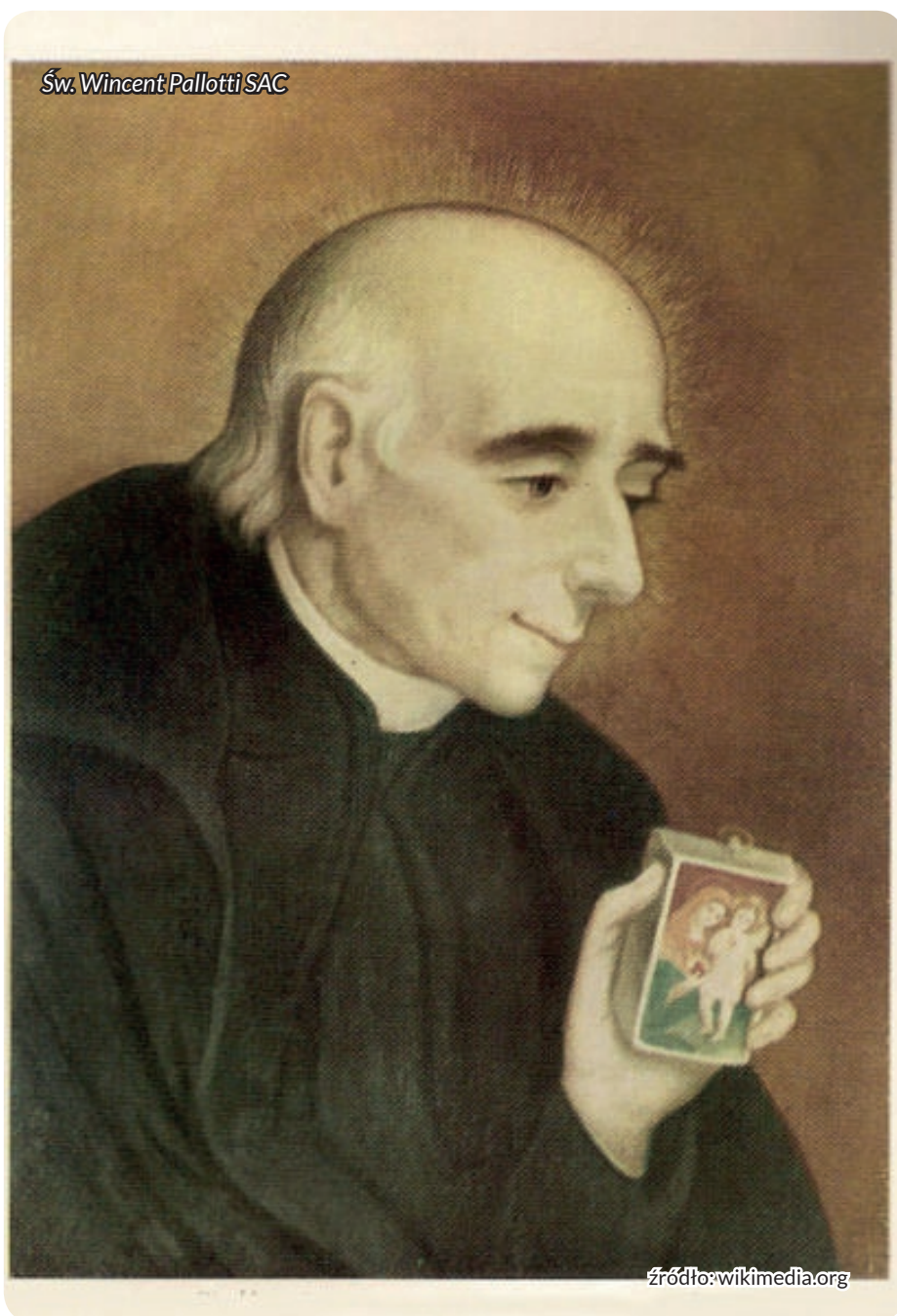
Dzieciństwo i kapłaństwo

Wincenty był trzecim dzieckiem zamożnego kupca rzymskiego Piotra Pallottiego i jego żony Magdaleny de Rossi. Byli oni ludźmi bardzo pobożnymi. Chłopiec od najmłodszych lat wzrastał na podatnym gruncie, co skierowało go na drogę do świętości.

Pierwsze nauki pobierał w szkole okręgowej przy via Capellari. Tam też rozpoczął naukę języka łacińskiego. Ze wszystkimi przedmiotami dawał sobie radę, jedynie łacina sprawiała mu wiele trudności. Jednak gdy już ukończył szkołę okręgową, rodzice posłali go do szkoły pijarów przy San Pantaleo. Wincenty przyswajał z trudnością wiadomości z gramatyki, dlatego w nauce pomagał mu nauczyciel, a matka rozpoczęła w tej intencji nowennę do Ducha Świętego. Dzięki połączonym wysiłkom – przyrodzonym i nadprzyrodzonym – Wincenty przezwyciężył wszelkie trudności i odtąd z łatwością już czynił dalsze postępy w nauce.

Od wczesnych lat życia chętnie się modlił – często można go było spotkać klęczącego przed Najświętszym Sakramentem. Prawdziwa miłość ku Bogu dawała mu pokój serca i coraz bardziej przynaglała do głębszej miłości bliźniego. Po ukończeniu szkoły podstawowej prowadzonej przez ojców pijarów rozpoczął studia w Kolegium Rzymskim Gregorianum, które kontynuował na Uniwersytecie Sapienza, uczęszczając równocześnie na wykłady nauk przyrodniczych, matematyki, historii i prawa. Studia uniwersyteckie zwieńczył zdobyciem stopnia doktora zarówno z filozofii, jak i z teologii.

Pallotti jednak nie tylko zdobył gruntowną wiedzę, lecz nadto rozwijał się w życiu duchowym. Zaczynał wtedy prowadzić dziennik duchowy. W jego zapisanych postanowieniach czytamy: „Będę się starał utrzymywać pokój wewnętrzny, który czyni



Św. Wincent Pallotti SAC

źródło: wikimedia.org



nas dziećmi Bożymi” (Pallotti W., Wybór Pism, t. III: Pisma dotyczące Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego, Poznań–Warszawa 1978, s. 21).

Wiemy, że od młodości pragnął zostać księdzem i nie krył się przed rodzicami z tym zamiarem. Święcenia kapłańskie otrzymał w Rzymie 16 maja 1818 roku. Po nich podjął intensywną pracę duszpasterską na wielu frontach: wykładał na uniwersytecie, był ojcem duchownym w seminarium, tworzył szkoły wieczorowe, stowarzyszenia dla robotników, sierocińce i ochronki dla dziewcząt; był kapelanem więźniów i żołnierzy, rekolekcjonistą, kaznodzieją, cennym spowiednikiem. Zabiegał o to, aby wszystkie te działania jednoczyć i koordynować, aby wprowadzać pokój w ludzkich duszach. Słowa Pallottiego w tamtym czasie wywierały na wszystkich głębokie wrażenie,

bo każdy wierzył, że pochodzą ze szczerego i ojcowskiego serca. Niektórzy zapewniali, że wystarczy usłyszeć kilka słów z jego ust, aby odzyskać spokój wewnętrzny. Samo nawet spojrzenie tego zjednoczonego z Bogiem kapłana otwierało serca, budząc cześć i zaufanie.

Jako kapłan nie popadał w rutynę, przyzwyczajenie, brak duchowego życia i kontaktu z Bogiem. Wciąż działał, w sercu pragnąc ożywiać wiarę wśród wierzących. Niektórzy mówili, że Pallotti chciał obudzić olbrzyma. Wzywał więc wszystkich do pogłębiania religijności i jednoczenia wszystkich wysiłków, aby budzić w sercach ludzkich pokój.

Założyciel Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego

Pallotti, widząc ówczesną sytuację Kościoła i potrzeby ludzkości, doszedł do wniosku, że duchowieństwo samo nie sprostą wyzwaniu szerzenia i głoszenia Ewangelii. Dlatego też dostrzegał potrzebę obudzenia ducha misyjnego Kościoła. Stawiał sobie pytanie, co może w tym względzie zrobić. Doszedł do wniosku, że należy zmobilizować wielki potencjał wszystkich ludzi świeckich, aby i oni uświadomili

sobie odpowiedzialność za głoszenie Królestwa Bożego. Założył nowe dzieło w Kościele, które miało jednoczyć i budować pokój. Powołał je do życia w 1835 roku, nazywając Zjednoczeniem Apostolstwa Katolickiego.

Głównym celem stawianym przez św. Wincentego temu przedsięwzięciu było szerzenie nieskończonej chwały Bożej, zniszczenie grzechu, prowadzenie dusz do zbawienia oraz oddawanie czci Niepokalanej Matce Bożej, Królowej Apostołów – jako szczególnej Patronce Zjednoczenia.

Wincenty Pallotti był „zwiastunem przyszłości”. Prawie o sto lat wyprzedził Sobór Watykański II, który mówił, że każdy ochrzczony mocą sakramentu chrztu świętego jest apostołem. Moc bowiem w Kościele objawia się nie tylko przez duchownych i zakonników, lecz także poprzez rzeszę aktywnych świeckich apostołów. Tak wtedy, jak i dzisiaj potrzeba mocy zjednoczonych serc wszystkich jego członków. Święty Pallotti uprzedził to odkryciem następującego faktu: w świecie ludzi świeckich, do tego czasu biernym, ospałym, lęklwym i niezdolnym do wypowiedzania się, drzemie wielka energia służenia dobru. Święty zapukał do sumienia świeckich, jak puka się do drzwi.

Budowanie jedności w Kościele

Św. Wincenty wznosił jedność i pokój poprzez wymiar „świętowania różnorodności”, urządzając oktawę Epifanii. „Trzeba się starać – pisał – aby [...] w każdym mieście, kraju, regionie, zamku i miejscowości urządzano świętą oktawę Objawienia Pana naszego Jezusa Chrystusa. [...] Należy dołożyć starań, aby oktawa wypadła możliwie jak najuroczyściej i by ukazała drogocenną różnorodność, jaką jest przyozdobiony Kościół święty” (Pallotti W., *Wybór Pism*, t. I: *Pisma dotyczące Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego*, Poznań–Warszawa 1978, s. 336).

Skąd pomysł oktawy Epifanii? Wszystko wskazuje na to, że z Collegium Urbanianum. Kiedy Pallotti był tam ojcem duchownym, uczestniczył w tzw. święcie języków. Otóż z okazji Objawienia Pańskiego, święta patronalnego Collegium, odprawiano Msze w różnych obrządkach i organizowano wielojęzyczne akademie, w czasie których różnokolorowi klerycy wygłaszali mowy, recytowali poezję i śpiewali na cześć Bożego Dzieciątka, każdy w swym ojczystym języku.

Wincenty Pallotti pozwolił się przeniknąć i zainspirować duchowi tegoż święta. Co więcej, poszerzył je i wypełnił nowymi treściami. Odpowiadało ono doskonale celom dzieła Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego, które założył wcześniej. Nic więc dziwnego, że Epifania stała się patronalnym świętem Zjednoczenia i jego symbolem. „Uroczystość Objawienia Pana naszego Jezusa Chrystusa – zapisał św. Wincenty – jest jedną z najbardziej świetlanych tajemnic naszej wiary” (tamże, s. 331). Rzeczywiście, można stwierdzić, że oktawa Objawienia Pańskiego miała ukazać, czym jest i czym być powinno zjednoczenie i budowanie pokoju.

Pierwsza oktawa Epifanii odbyła się w dniach 5-13 stycznia 1836 roku w kościele Spirito Santo dei Napoletani. Wincenty nie postrzegał siebie wtedy jako reformatora. Chciał bowiem poprzez tę oktawę ożywiać, podtrzymywać, doprowadzić do większej wiary i miłości, do tego, by ludzie lepiej znali i bardziej kochali Boga. Pallotti pragnął jednoczyć narody wokół samego Chrystusa, by wszyscy czuli się Jego braćmi.

Szukał on w łonie Kościoła katolickiego nie tylko jedności, ale również zjednoczenia chrześcijan. Widać to wyraźnie w jednej z jego modlitw ułożonych na tę okoliczność: „Rozszerz granice Twojego

Kościół, Panie. [...] Przyspiesz moment, który sam zapowiedziałeś, kiedy to wszyscy ludzie utworzą jedną owczarnię pod jednym Pasterzem i cieszyć się będą Tobą, i błogosławić Cię na zawsze, w jedności tej samej chwały. Niech tak się stanie”.

Pallotti propagował autentyczne apostołstwo modlitwy jako środek, który wydawał mu się najbardziej skuteczny, aby poprowadzić Mistyczne Ciało Chrystusa ku upragnionej jedności w różnorodności. Chciał, żeby katolicy wszystkich obrządków, języków i narodów modlili się razem w każdym miejscu.

Wprowadzając w Wiecznym Mieście uroczyste obchody oktawy Epifanii, szukał ożywienia wiary, rozpalenia miłości i niesienia całej ludzkości miłości i pokoju. Wincenty wiedział, że misja, jaką Bóg mu powierzył w Kościele, to misja „budowniczego mostów”, pewnego „łącznika” i „spójnika”. Pragnął on całym swoim życiem jednoczyć wszystkie rzeczywistości w Kościele i świecie, czemu służyły uroczyste obchody oktawy Epifanii.

Misje, ekumenizm

Żyjąc już ponad pięćdziesiąt lat po Soborze Watykańskim II, podejmujemy obecnie wzmożone wysiłki mające na celu wsparcie ekumenizmu i misji. Poszukiwanie tej jedności chrześcijan było także wpisane w duchowość św. Wincentego. Chciał on wypełnić pragnienie Chrystusa: „aby wszyscy byli jedno” (J 17,11). Członkowie jego dzieła, jakim jest Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego, do dzisiaj starają się podejmować wszelkie możliwe inicjatywy w tym kierunku, zmierzające do zjednoczenia chrześcijan i budowania pokoju w sercach ludzkich.

Wincenty Pallotti jako „zwiastun przyszłości” napisał: „Jezus Chrystus zapowiedział czas, kiedy cały świat zjednoczy się jako jedna Owczarnia pod jednym Pasterzem. Nasza modlitwa o nadejście Królestwa podoba się Panu. Nasze dobre czyny, żarliwe modlitwy sprawiedliwych i wstawiennictwo Błogosławionej Dziewicy Maryi sprawiają, że dzień ten nadejdzie. Mamy nadzieję, że przez naszą żarliwą modlitwę Bóg pozwoli, by już wkrótce nadszedł ten dzień, kiedy ujrzymy świat jako jedną Owczarnię pod jednym Pasterzem” (tamże, s. 72).

Zakończenie

Wincenty Pallotti odszedł do Pana, mając pięćdziesiąt pięć lat. Na zakończenie oktawy Epifanii 13 stycznia 1850 roku, wychodząc z kościoła, oddał swój płaszcz biedakowi, wskutek czego przeziębził się i zachorował na ostre zapalenie płuc. Zmarł kilka dni później, 22 stycznia. Pochowany został w kościele San Salvatore in Onda, którego był rektorem i gdzie ugruntuował fundamenty swego Stowarzyszenia.

Pius XI, powołując Akcję Katolicką, nazwał Wincentego jej prekursorem. 2 stycznia 1950 roku Pius XII zaliczył Sługę Bożego Wincentego Pallottiego w poczet błogosławionych, a 19 stycznia 1963 roku papież Jan XXIII podczas trwającego Soboru Watykańskiego II ogłosił błogosławionego Wincentego Pallottiego świętym. Główne dzieło św. Wincentego Pallottiego, jakim jest Zjednoczenie Apostolstwa Katolickiego, istnieje do dnia dzisiejszego. Jego centralną część stanowią dwa zgromadzenia: Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego (Pallotyni) oraz Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Apostolstwa Katolickiego (Pallotynki). Wspomnienie liturgiczne św. Wincentego przypada 22 stycznia.

Symbol ekumenizmu



źródło: wikimedia.org

Do urzeczywistnienia tego, czego pragnął Pallotti: jedności i pokoju, powinna przyczynić się likwidacja zbyt mocnego podziału w Kościele między hierarchią a ludźmi świeckimi. Podział ten narastał do czasów Pallottiego stopniowo na skutek warunków historycznych i prowadził do powstania zjawisk klerykalizmu i antyklerykalizmu. Także współcześnie daje się zauważyć takie postawy. Jednak lojalna współpraca duchowieństwa z wiernymi w ramach różnych organizacji kościelnych, a zwłaszcza rad parafialnych i duszpasterskich, może się przyczynić do budowania jedności i pokoju w Kościele, co było pragnieniem świętego. Jak zapisał w przeddzień swoich święceń kapłańskich: „Zachwycam

mnie mój Bóg, nie rozum, nie wola, nie dusza, nie wzrok, nie słuch, nie powonienie, nie smak, nie mowa, nie oddech, nie ciało, nie powietrze, nie pokarm, nie napój, nie odzienie, nie łożo, nie rzeczy doczesne, nie bogactwa, nie zaszczyty, nie wyróżnienia świata, nie dostojeństwa, nie awanse, lecz Bóg! Bóg zawsze i we wszystkim” (Pallotti W., *Wybór Pism*, t. III: *Pisma Pallottiego dotyczące jego duchowości*, Poznań-Warszawa 1987, s. 86).

Wykorzystano materiały z:

<http://www.powolania.pallotycki.pl/o-nas/sw-wincenty-pallotti/epifania-co-to-takiego> (dostęp z: 1.12.19 r.)

Wróbel J., *Święty Wincenty Pallotti apostoł i mityk*, Poznań 1982

Frank J., *Wincenty Pallotti*, t. I, Poznań 2007

Frank J., *Wincenty Pallotti*, t. II, Poznań 2014

Amoroso F., *Od nicości do pełni w Bogu*, Poznań 1991

Kowalczyk M., Mejzner M., *Św. Wincenty Pallotti Apostoł Wiary*, Warszawa-Ołtarzew 2013

Mejzner M., *Burzliwa epoka. Tło historyczno-religijne życia Wincentego Pallottiego*

Parzyszczek Cz., *Zjednoczenie Apostolstwa Katolickiego wciąż aktualne propozycja pastoralna*, Warszawskie Studia Pastoralne 10, 110-154, 2009



źródło:unsplash.com

Proszę o pozwolenie na święty spokój



Nina Kogut

Mała wyspa Pianosa, położona na Morzu Śródziemnym, osiem mil na południe od Elby. Przepiękne widoki, słońce ogrzewające każdy dostępny mu skrawek, ciepła woda o kobaltowym odcieniu i przepyszne jedzenie od lokalnych dostawców. W każdy weekend oferowane są wycieczki w głąb Włoch lub do Rzymu, zdecydowanie jest co zwiedzać. Sama wyspa kusi jednak do pozostania na niej i oddania się słodkiemu lenistwu. Lecz i tutaj nie ma miejsca na nudę – przewidziane są atrakcje takie jak opalanie się, gry zespołowe. Można poznać wielu ciekawych ludzi, jest też lekarz, który w razie potrzeby służy pomocą. Kadra kierownicza działa bez zarzutu, przestrzega prawa co do joty. Czy to opis sielskich wakacji w słonecznej Italii? Nie... to tylko świat przedstawiony w powieści wojennej *Paragraf 22*.

Zacznijmy może od początku. Pomysł na dzieło zrodził się w głowie jego autora, Josepha Hellera, już w 1953 roku. Główną inspiracją były przede wszystkim jego przeżycia i wspomnienia z II wojny, w której czynnie brał udział. Podobnie jak główny bohater powieści (John „Yoyo” Yossarian), Heller był bombardierem. Pierwotnie miała powstać krótka nowela, z czasem autor dostrzegał jednak we własnej historii coraz większy potencjał i dopisywał do niej kolejne rozdziały. Ciężko było znaleźć wydawcę, który podjąłby się tak heroicznego czynu, jakim było wydanie powieści o dość kontrowersyjnej jak na tamte czasy tematyce. A kiedy już się to Hellerowi udało, to i tak spóźnił się z do-

Kard z serialu *Paragraf 22* (2019)źródło: zyt.com

starczeniem gotowego materiału o jakieś pięć lat. *Paragraf 22* (w oryginale *Catch-22*) ostatecznie ujrzał światło dzienne w roku 1961 i wywołał skrajne reakcje – od zachwyty do ostrej krytyki. Głównym bohaterem powieści jest wspomniany już wcześniej Yossarian, wszystkie wydarzenia obserwujemy z jego perspektywy. Cała powieść składa się z nieliniarnych wspomnień z bazy na Pianosie, mniej lub bardziej zabawnych, z naciskiem na absurdałne.

Ale o co chodzi?

Yossarian panicznie boi się wojny, robi zatem wszystko, by jej uniknąć. Zdecydował się na szkolenie bombardiera, ponieważ trwa ono najdłużej, co niestety nie przekłada się na gwarancję bezpieczeństwa. Codziennie odbywa razem z kolegami samobójcze misje, a potem symuluje ból brzucha, żeby przesiedzieć w szpitalu możliwie jak najdłużej. Na kartach powieści ginie dużo jej bohaterów, zatem szanse na przeżycie Yossariana zmniejszają się z każdym odbytym lotem. Jednak największym problemem jest to, że liczba obowiązkowych lotów bojowych stale się zwiększa, dlatego Yoyo nie może zostać zwolniony. Nie może być też zwolniony ze służby wojskowej, ponieważ wedle tytułowego paragrafu 22. nie jest chory psychicznie. Autor dostrzegł sprzeczność, którą chyba najlepiej oddaje dość pokrętnie rozumowanie doktora Daneeki. Teoretycznie wystarczy się do niego zwrócić, by zostać zwolnionym z lotów, ten sam paragraf 22. informuje jednak, iż „ten, kto chce zwolnić się z lotów bojowych, nie jest prawdziwym wariatem”. Wariatami są zatem ludzie, tacy jak McWatt, albo Orr, którzy nie dość, że narażają swoje życie, to jeszcze czerpią z tego powodu przyjemność, dlatego raczej nie zgłoszą się oni do doktora, więc nie można ich uznać za wariatów. Natomiast Yossarian, który twierdzi, że jest wariatem i prosi o zwolnienie, nie może go uzyskać, ponieważ to wyklucza go z grona wariatów, a doktor nie może samowolnie przyznać zwolnienia. Ja tego nie rozumiem, nie rozumiał także Yossarian. Armia jawi się zatem jako silnie biurokratyzowana organizacja. Wysoko postawionych oficerów i polityków tworzących podobne przepisy raczej nie obchodzi los walczącej jednostki. Przecież patriotyczne frazesy o słodkim i chwalebny umieraniu za ojczyznę brzmią tak ładnie.

Wojna nie jest fajna

W oczach Yossariana wojna jest dziwna i irracjonalna, twierdzi, że wszystko i wszyscy sprzysięgli się w celu odesłania go na łono Abrahama. Nie wiadomo do końca, czy jest to przejaw jego faktycznego

lęku czy raczej gorzkiej ironii, którą powieść Hellera wręcz ocieka. W tym świecie ciężko jest odróżnić śmiech od krzyku rozpacz. W miarę czytania można dojść do wniosku, że fabuła jest jak najbardziej achronologiczna, ale im dalej w las, tym ciemniej. *Paragraf 22* rozpoczyna się od rozdziałów zabawnych, by najgorsze wspomnienia zostawić na koniec. Czytelnik stopniowo odkrywa mrok ukryty pod warstwą absurdu humoru (początkowo myślałam, że to wina tłumacza i te żarty mają po angielsku trochę więcej sensu, jednak okazało się, że ich sens to właśnie brak sensu). Być może jest to mniej więcej podobny zabieg, który wykorzystuje się w wielkich hollywoodzkich produkcjach wojennych. Całkowite ignorowanie rzeczywistego wyglądu wojny na rzecz taniej rozwałki, okropnych efektów specjalnych i patetycznych hasel o wielkości narodu amerykańskiego. Oczywiście nie brakuje na rynku bardzo dobrych i realistycznych filmów wojennych, jest to jednak temat tak obszerny, że zasługuje na osobny artykuł. Oczywiście Joseph Heller nie mógł wiedzieć, że sposób obrazowania wojny stanie się problematyczny, choć już za jego życia powstawały filmy propagandowe, a nawet zwykłe produkcje, które wojnę traktowały dość... przedmiotowo. W 1970 roku podjęto próbę przeniesienia *Paragrafu 22* na duży ekran. Reżyserią zajął się Mike Nichols, w rolę Yossariana wcielił się Alan Arkin. Obraz otrzymał jednak mieszane recenzje, a w konsekwencji został zapomniany z kilku powodów. Po pierwsze –



mniej więcej w tym samym czasie swoją premierę miał komediowy serial *M.A.S.H.*, którego fabuła rozgrywała się w czasie wojny w Korei. Był to też okres, w którym Amerykanie powoli wycofywali swoje wojska z Wietnamu, aluzje więc odczytywano jasno. Po drugie – powieść Hellera jest bardzo trudnym materiałem źródłowym ze względu na nieprzekładalny charakter i absurdu dowcip słowny i sytuacyjny. Pewne kwestie nie były już tak śmieszne po włożeniu ich w usta aktorów, nie pomagała też nielinearność akcji. Być może dlatego to właśnie *M.A.S.H.* uznano za kultowy, a film Nicholisa już nie. Ale z drugiej strony świadczy to o tym, jak bardzo oryginalnym dziełem jest *Paragraf 22*. Autorowi już nigdy nie udało się powtórzyć swojego sukcesu.

Samodzielne myślenie czy tchórzostwo?

Każdy bohater powieści ma trochę inny stosunek do wojny, zazwyczaj odnosi ją też do własnego życia. Dla niektórych jest wybawieniem, dla innych niepotrzebnym wysiłkiem, a dla jeszcze innych okazją do zarobku. Porucznik Sheisskopf bardzo lubi parady, a nie ma lepszej okazji do urządzania parady niż wojna. Kapitanowi Cathcartowi zależy tylko na awansie, co w połączeniu z jego ograniczonymi poglądami czyni go jednym z głównych antagonistów. Heller wykreował mocno zindywidualizowane postacie o wyraźnych przekonaniach, charakterach, a nawet posiadające dziwne nawyki. Mimo to żadna z nich, łącznie z Yossarianem, zdaje się nie mieć jakiegokolwiek wpływu na swój los ani otaczający ich świat – limit lotów i tak jest regularnie podnoszony. Yossarianowi najmniej się to podoba, dlatego wydaje się być jedynym trzeźwo myślącym, będąc jednocześnie największym wariatem. Wydaje mi się jednak, że jego postępowanie może mieć dwie strony medalu. Każdy z nas do szczęścia potrzebuje świętego spokoju; jesteśmy szczęśliwi, kiedy mamy zapewnione bezpieczeństwo i mało powodów do konfliktów. Nie jest to moja obserwacja, zauważył to już Arystoteles. Jego koncepcja *Aura Mediocritas* zakłada, że taka równowaga, a co za tym idzie – statyczność, pozwala uniknąć popadania w skrajności. Choć model ten dotyczył jego przepisu na idealne społeczeństwo, złoty środek można z pewnością odnieść do życia człowieka. Dlatego postępowanie Yossariana wydaje się bardzo na miejscu; podobnie

zachowywałyby się większość ludzi. Jednak z drugiej strony Yoyo może być postrzegany jako osoba pozbawiona ideałów. Być może to tchórzostwo nie pozwala mu przyjąć idei walki za ojczyznę? Nie pozwala mu także zdezerterować, ponieważ jedyną rzeczą, o jaką faktycznie się troszczy, jest własne życie.

Totalna abstrakcja

Zatrzymajmy się na chwilę, bo coś tu się nie zgadza. Jaka niby walka za ojczyznę? Przecież to nie Stany Zjednoczone zostały zaatakowane w 1939 roku. Amerykańscy młodzieńcy biją się zatem w nie swoim interesie, zabijając innych młodzieńców (w tym przypadku niemieckich) bijących się w nie do końca swo-

Kard z serialu *Paragraf 22* (2019)



źródło: yt.com

im interesie. Można krytykować takie podejście, lecz sami nie wiemy, jak zachowalibyśmy się, gdyby to nam przyszło walczyć. Próbowałam wejść w polemikę z Josephem Hellerem, ciężko jednak zaprzeczyć faktom. Do początku XX wieku wojna była opisywana tylko przez pisarzy, poetów, wielkich przywódców, malarzy. Widziano ją zatem jako chwalebną, piękną, może i potrzebną. Różniła się też charakterem od wojny prowadzonej współcześnie, ludzkość była do niej trochę bardziej „przyzwyczajona”, bo łatwiej było ją sobie uzasadnić, a ludzie z niższych warstw społecznych rzadko mogli brać w niej udział. Sytuacja zmieniła się, gdy do głosu doszli sami żołnierze, tacy jak Erich Maria Remarque czy właśnie Heller, cywile, uchodźcy, więźniowie obozów koncentracyjnych i obozów pracy. Tyrtejskie hasła mogły być dla żołdaków, tkwiących po kolana w błocie, otoczonych krwią i innymi obleśnymi płynami, stojących nad breją, która kiedyś była ich przyjacielem, co najmniej śmieszne. Mimo to uważam, że nie wszyscy podzieliliby pogląd Yossariana. Skoro każdy z nas jest inny, jak koledzy po fachu Yoya, to z pewnością jakaś część z nas dostrzegłaby sens w czymś tak okrutnym i bezsensownym jak wojna. W końcu warto bronić swoich racji, a o to, na czym nam zależy, i tak często musimy walczyć.

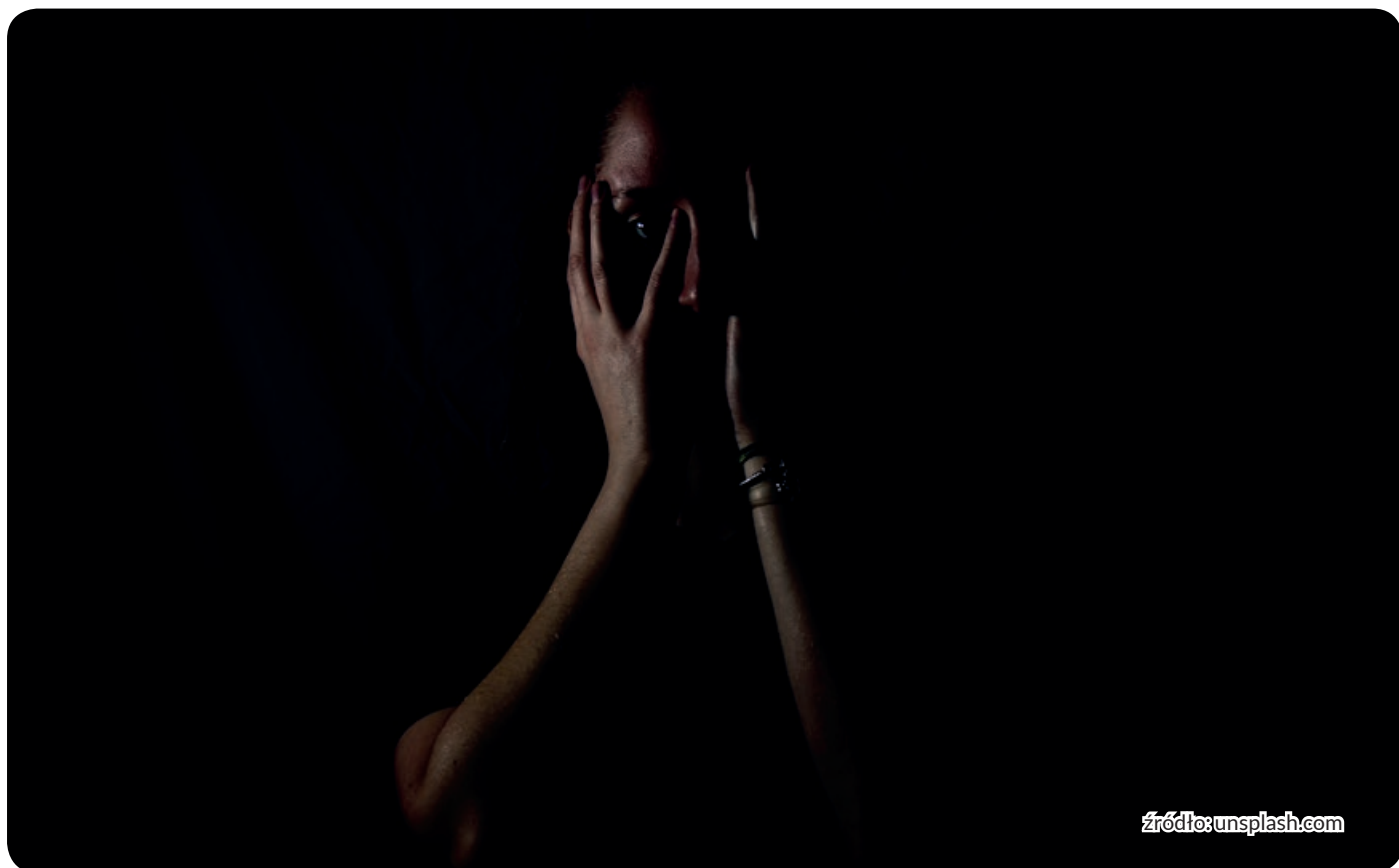


Kard z serialu *Paragraf 22* (2019)

źródło: ytt.com

Karuzela śmiechu przez łzy

Frazeologizm „paragraf 22.” wszedł do potocznej angielszczyzny na opisanie czynności niedającej żadnych efektów, działania, które z góry jest skazane na klęskę, niezależnie od tego, co zrobimy. Yossarian przegrał, lecz ja uważam go za zwycięzcę, ponieważ mentalnie nie dał się porwać tej karuzeli. W końcu nadzieja umiera ostatnia. Nie wiadomo, jak skończyłaby się podobna historia, gdyby wydarzyła się naprawdę. Yoyo miał to szczęście, że jako protagonista musiał dotrzeć do końca powieści, bo kto inaczej opowiedziałby jego historię? Najbardziej przerażające jest jednak to, że *Paragraf 22* to całkowita fikcja, a jednak tak bliska prawdy. Wyspa Pianosa faktycznie istnieje, ale jest zbyt mała, by mogła pomieścić całą bazę łącznie z pasami startowymi. Póki co cieszymy się, że nie musimy przeżywać podobnych rozterek ani brać udziału w wojnie. Korzystajmy ze świętego spokoju, bo nigdy nie wiadomo, kiedy odejdzie.



źródło:unsplash.com

Listy Pielgrzyma – wpis czwarty



Tomasz Leszczyński

Warszawa, 06.05.2018

„Panie, nie udźwignę tego ciężaru”.

Upadłem. Całe moje życie duchowe w jednym momencie się posypało. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo źle się z tym czuję się. I nie chodzi o sam tylko grzech, ale o jego przyczyny i skutki.

Jestem skrupulantem. Znasz to uczucie, kiedy wszystko wokół wydaje Ci się złe? Sądzę, że wielu z nas tak ma. Biczujemy siebie samych za grzechy, których prawdopodobnie nie popełniliśmy. Nawet drobne wykroczenie jest karą samą w sobie, najgorszą z możliwych. W taki właśnie sposób myślą skrupulanci.

Przy spowiedzi czasem czuję się jak najgorsze, niegodne Jego miłości dziecko. W duszy krzyczę: „Panie, zabierz to ode mnie, nie udźwignę tego ciężaru!”, a na zewnątrz, do księdza, mówię o tym, że przyjmę cierpienie z pokorą.

Zastanawiasz się pewnie – jak pogodzić obie postawy? Jak można z tym żyć?

Bardzo trudno jest udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Drobne przewinienie, które sprawia, że

mówię do siebie w myślach: „Jestem zły, nie mogę być kochany przez Boga, bo go zawiodłem!”, zabija poczucie własnej wartości. Aby je odbudować poprzez dostrzeżenie dobra wypływającego ze mnie jako dzieła Stwórcy – trzeba często podejmować radykalne kroki. Możliwe, że zadasz sobie pytanie: „Co więc powinienem zrobić?”.

Przede wszystkim – spróbować odnaleźć przyczynę swojego lęku.

Często leży ona w zdrowiu psychicznym konkretnego człowieka. Depresja oraz towarzyszące jej stany lękowe stały się już chorobą cywilizacyjną. Irracjonalne obawy co do odpowiedniości własnego postępowania, ból duszy związany z zaburzonym zapatrzeniem się w swoje „ja”, krzywda psychiczna z dzieciństwa lub czasów szkoły i wiele, wiele innych okoliczności potrafi zamknąć w bańce izolującej od społeczeństwa.

Wiem o tym doskonale z autopsji. Kiedy potrzebowałem pomocy, rzadko otrzymywałem ją w takiej postaci, w jakiej mogłem jej oczekiwać. W takim stanie rzeczy nieraz leży główna przyczyna przedłużającego się cierpienia. Nieumiejętność zaakceptowania pomocy udzielonej nam przez inną osobę. Dlatego dziś powinniśmy posłuchać słów Chrystusa: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje!” (Łk 9, 23).

Nie bój się, kochana sestro i kochany bracie, brać na barki swojego cierpienia, bo właśnie w tym cierpieniu kryje się szczęście.

Pozdrawiam i błogosławię
Pielgrzym



źródło:unsplash.com